MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 47. WARSZAWA, 4 PAŹDZIERNIKA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

HASŁA USTROJOWE I ICH ROZWÓJ

W CHWILI odbudowania państwa myśl polskich kół politycznych o ustroju była czemś bardzo mało dojrzałem, płytkiem i niesamodzielnem. Od tego czasu jednak ewolucja idej ustrojowych przeszła kilka okresów, zaznaczyła się różnorodnemi, często antytetycznemi tendencjami. Dzisiejszy stan poglądów pozwala na próbę objektywnej oceny tego rozwoju oraz zamknięcia go kilkoma konkluzjami.

W pierwszym okresie dążenia ustrojowe wobec własnego państwa były w dużym stopniu rozwinięciem i zastosowaniem programu, posiadanego odnośnie do państw obcych, zaborczych. Państwa te były staremi monarchjami o silnie skrystalizowanej zbiorowej osobowości i dobrze zagwarantowanym, wobec dążeń partykularnych oraz indywidualnych, ogólnym interesie. Polski zaś interes narodowy wiązał się był przejściowo z tendencjami, rozluźniającemi preponderancję osobowości państwa na rzecz grup oraz jednostek, z tendencjami walczącemi pod barwną flagą liberalizmu i demokracji. Dzięki temu w dziele budowania podstaw własnej władzy państwowej i prawa publicznego, znać wyraźne dążenia walki z gwarancjami interesu zbiorowego, z przewagą państwa — państwa, którego przewaga była jeszcze fikcją, którego osobowość i władza nie były jeszcze ukształtowane.

Ten pierwszy okres rozwoju idej ustrojowych, w którym były one nawskroś liberalne, demokratyczne i antymonarchiczne, przypada mniej więcej na lata 1918 — 1922, czyli na okres pierwszego, konstytucyjnego Sejmu. Wtedy panowanie szeregu też było powszechne, przez nikogo nie dyskutowane — tkwiły one niejako w powietrzu. I tak nienaruszalnym kanonem był republikański charakter państwa i nie znalazłoby się wówczas nietylko poważnego kierunku politycznego, ale nawet polityka, mającego pretensję do odegrania roli, który ośmieliłby się otwarcie przemówić za monarchją. Tak samo świętością było demokratyczne pojmowanie źródeł władzy w państwie: oczywiście należy ona do ogółu obywateli, tak lekceważonego przez zaborcę, oczywiście najbardziej wieloprzymiotnikowe ma być prawo wyborcze i któżby się przeciwstawił dekretowi wyborczemu Piłsudskiego i Moraczewskiego z r. 1918! Świętością były prawa konstytuanty, z takich podstaw demokratycznych powstałej, bardzo szeroko i prawie bez granic pojmowany był zakres tych praw i nikomu nie przychodziło do głowy podawać w wątpliwość „sejmowładczą“ strukturę prawną budowanego państwa.

Szczęściem owiane były wówczas wszystkie poczynania i wszystkie idee oraz doktryny wspaniałym duchem patrjotyzmu, szczęściem, wobec wojny i niebezpieczeństw zewnętrznych, zdrowy instynkt narodowy narzucał zasadę współdziałania i jedności, spajał grupy i stronnictwa w jedną całość. I temu duchowi zwycięskiemu przypisać też trzeba, że w ramach ustrojowych demokratyczno-liberalnych ogólnie przyjętych, zwyciężyła przy zakładaniu fundamentów państwa zasada narodowej jednolitości, trjumfując nad pomysłami rozbijania i różnicowania wewnętrznego (federacja, autonomje), czynienia z Polski na wzór Austro-Węgier dziwacznego państwa narodowości.

Dziełem tego pierwszego okresu suggestji demokratyczno-liberalnej była konstytucja, dotąd obowiązująca formalnie, uchwalona w dniu 17 marca 1921 roku przez Sejm konstytucyjny. I po jej uchwaleniu, jako po wielkiej karcie owego czasu odezwał się też pierwszy głos krytyczny: p. Stan. Kozicki w „Przegl. Wszechpolskim“ poddał krytyce zasady konstytucji 17 marca i stwierdził potrzebę rychłej jej reformy.

Właściwy — nietylko teoretyczny, ale praktyczny — krytycyzm wobec przyjętej formy ustrojowej budzić się zaczął w miarę, jak ustalały się normalne czasy i normalne zadania rządzenia oraz kiedy uchwalona konstytucja zaczęła obowiązywać, gdy weszła w życie.

Okazało się to natychmiast i objawiło krwawo, że konstytucja nie podoła łatwo głównemu za-

daniu zapewnienia państwu dobrej władzy wykonawczej: głowy państwa oraz rządu. Skład izb przedstawicielskich, powołanych dzięki demokratycznemu prawu wyborczemu odsłonił: 1) niebezpieczeństwo, że o osobie głowy państwa decyduje lewica wraz z mniejszościami narodowemi i 2) że niema mowy o tem, by mógł powstać rząd, oparty o jednolitą większość parlamentarną. — Tragicznym wyrazem zawiedzionych nadziei narodu i obawy śmiertelnej przed przyszłością stała się śmierć pierwszego Prezydenta, padłego od kuli w pierwszych dniach po wyborze.

Równie niefortunnie, a nawet tragicznie wypadło doświadczenie z przewidzianym przez ustawę konstytucyjną rządem większości sejmowej — w listopadzie 1923 na ulicach Krakowa i w maju 1926 w stolicy rozlew krwi bratniej towarzyszył aktom wykonania konstytucji. Tak dziwnym biegiem poszły dzieje — historja wyjaśni to kiedyś i zbada wszechstronnie — że nie wytrzymywały próby czasu i sił rządy większości, padając szybko po utworzeniu się, a natomiast więcej szans zdradził system, oparty na ustawie nadzwyczajnej, rządu pozaparlamentarnego p. Prezydenta Rzplitej. Gdy zaś i taki system się załamał, próba nawrotu do rządu większości i stworzenie gabinetu Witosa po raz wtóry w maju 1926 unicestwiona została w ogniu rewolucji wojskowej.

W tym okresie próby wprowadzenia w życie Konstytucji 17 marca, w okresie, na który przypada zarazem nie nędza gospodarcza, ale chaos finansowy, niepewność jutra i trudne borykanie się z inflacją pieniężną, szczególnie dotkliwe dla aparatu administracyjnego, żyjącego z miesięcznych poborów (wśród dzisiejszego kryzysu tamto nie wygląda równie czarno, jak przedstawiało się ówczesnym wyczekiwaczom powojennego raju) — wtedy wśród tych doświadczeń bolesnych budzi się zwolna krytycyzm wobec przyjętych form ustrojowych.

Krytycyzm ten objawia się początkowo wśród szerokich kół jedynie jako ferment niezadowolenia i pesymizmu, oraz jako nieufność do tych ludzi i stronnictw, które *regime* ówczesny reprezentowały i ponosiły ciężki trud pracy wśród jego niepomyślnych warunków. Rządy tracą popularność, a zajęte z jednej strony opanowywaniem sytuacji finansowej, z drugiej nieustanną — w ramach takiego systemu konstytucyjnego — troską o utrzymanie się przy władzy, czyli zabiegami o łaskę tej lub owej grupy czy poszczególnego polityka, nie umieją stać na straży swego autorytetu i decydującego wpływu na zniechęcony obcięciem poborów i demoralizowany wyzyskującą to agitacją polityczną aparat administracyjny.

Równocześnie krytycyzm wobec istniejącego systemu tkwi w umysłach tych ludzi, którzy go reprezentują i są powołani do jego obrony. Zdają sobie oni sprawę z potrzeby zmiany ustroju, planują już sami reformę i myśl ta, być może, osłabia ich odporność wobec katastrofy, która wisi nad głową.

Po zamachu majowym, który położył koniec konstytucji 17 marca *de facto*, a zachował ją tylko z pozoru *de iure*, rozpoczyna się w opinji politycznej, w publicystyce i agitacji otwarta walka z zasadami demokratyczno-liberalnemi, walka prowadzona z kilku stron i rozmaitych punktów wyjścia. Powszechna, przeciętna opinja przygotowana dostatecznie, cofa swoją aprobatę człowieka ulicy hasłom wszechwładzy ludu, cofa serce sejmowi jako instytucji, nie chce mieć nic do powiedzenia sama — nie upaja się już swoją suwerennością, nie chce rządzić, ale chce być rządzona.

Ofensywa na myślenie kategorjami „demoliberalnemi" prowadzona jest głównie z dwu stron. Pozytywnie, z umiarem i ze stanowiska narodowego prowadzi kampanję Obóz Wielkiej Polski (wydawnictwa programowe, miesięcznik „Awangarda", propaganda na zebraniach i zjazdach), formułując tezy podstawowe ustroju narodowego. Z drugiej strony, koła rządzące t. zw. sanacji ograniczają swój czysto negatywny atak do wąskiego odcinka ciał reprezentacyjnych, ośmieszając i naprawdę „mieszając z błotem" uprawnienia poselskie, osoby poselskie oraz instytucję Sejmu. Czynią to nietylko w teorji, ale przy równoczesnem nie obserwowaniu postanowień konstytucji 17 marca w praktyce życia państwowego. Warto też wspomnieć o dość rozpowszechnionej w tych latach agitacji monarchistycznej, o licznych dość osobistościach, mających już odwagę przyznawania się do tych przekonań, co wszystko świadczy o zmienionej radykalnie atmosferze, o załamaniu się kanonów poprzedniego okresu.

Ten okres walki z demokratycznemi oraz liberalnemi nawyknieniami polskiej myśli o państwie rozwija się w atmosferze mody, panującej w Europie na dyktaturę. Modna dyktatura przyśpiesza, ułatwia ów proces, zarazem wszakże przenika go obcym nalotem, utrudnia pogłębienie się myśli, hamuje samodzielność rozwoju i oryginalność zdobyczy intelektualnych.

Gdy jednakże moda przeminęła i wytarła się atrakcyjność cudzych wzorów oraz domowych eksperymentów, polska myśl ustrojowa, wyzwolona poprzednio z suggestyj, wyniesionych z okresu niewoli, oczyści się także rychło i pomyślnie z tego, co było modą, naśladownictwem, śmieciem dyktaturalnych systemów.

Teren wyplewiony z doktrynerstwa, bogato już uprawny doświadczeniem własnem i nauką obcych, zdaje się stać otworem dla pracy pozytywnego formułowania zasad niezapożyczonych, polskiego ustroju narodowego.

ZDZISŁAW STAHL

JOFFRE I BARRES

DWA te nazwiska zestawione niewiele zdają się mieć wspólnego i dlatego właśnie ostatnia książka René Benjamina[1]) nie tłumaczy się jasno, na pierwszy rzut oka, ani w swoim tytule ani w swoim układzie. Przy głębszem wejrzeniu odkrywany zamysł autora, acz książka i nadal zachowuje pewną dowolność tematu i materji.

Dowolność taka nie powinna zanadto dziwić przy tym autorze. Jest to moralista, podszyty humorystą, i satyryk, podbity pamflecistą. Jego *„Farce de la Sorbonne"*, *„Aliborons et démagogues"*, *„Les Augures de Genève"* przyzwyczaiły nas do sięgania z ufnością po jego tomiki, jako do źródła ciętego dowcipu i niebylejakiej werwy. Cechy te odnajdujemy i w tej książeczce, którą przeczytać można w parę godzin z prawdziwą przyjemnością.

[1]) *„Grandes Figures: Barrès, Joffre"*.—Paris, Plon.

Ciekawym jest tu stosunek do tak dziś modnego rodzaju biografji literackiej. René Benjamin skreślił te dwie sylwetki za życia modeli, i w ten sposób wziął na siebie całą odpowiedzialność za to, co w jego obrazie mogło być niepokrywające się z rzeczywistością. Podkreśla swój zamiar minięcia się z faktycznym stanem rzeczy: nie należy szukać u niego prawdy interwiewu. Swoich bohaterów traktuje z intuicją powieściopisarza, któremu drogą jest psychologja. Jeśli się myli, należy jego winić a nie dociągać model do wizerunku. „Nie pytajcie się mnie, czy Barrès rzeczywiście powiedział wszystko, co mówi na tych kartach. Odpowiedziałbym, że nie wiem. Ale jeśli tego nie powiedział, powinien to był powiedzieć, wedle mego rozumienia. A to właśnie jest najważniejsze". To też z całą skromnością, a może raczej z całem poczuciem odpowiedzialności, wyznaje nasz autor, że pragnie udziału nie w historji Barrèsa, a tylko w jego legendzie. Tylko że to tylko jest wysokowartościowe w jego oczach, rozmiłowanych w legendzie, jako filozoficzniejszej, więc prawdziwszej od historji.

Barrès i Joffre? Przyjrzyjmyż się bliżej podtytułom: „*Le soliloque de Maurice Barrès*" i „*Les sept paroles du meréchal Joffre*". Mamy w tych paru wyrazach cichy kontrast pewnej wielosłowności z lakonizmem. Czy nasz satyryk zdał sobie sprawę, że Barrès na tem nienajlepiej wychodzi? Bodaj że tak, skoro mu śmierć bohatera nie pozwoliła książki w świat wypuścić, skoro i teraz pod koniec opowieści, parę stron wzruszonego, przejętego hołdu składa pamięci mistrza. Skutek definitywny tego skomplikowanego, wieloetapowego procederu jest jednak ten, że zwycięzca z nad Marny wychodzi lepiej znacznie na swych paru kartach, niż Barrès na trzech ćwierciach tomu. Bodaj że tu satyryk zdradził moralistę, dowcipniś estetę, dziennikarz patrjotę. Coś tak jakby Benjamin zdradził René'go...

Rzecz o Barrèsie rozkłada się na parę momentów: Barrès na wiecu w robotniczej dzielnicy, w salonie, w Izbie deputowanych, na Zgromadzeniu Narodowem w r. 1920, przy pracy w zaciszu domowem. Miała z tych kart wyjść jakby żywa synteza autora *Le culte du moi* i prezesa Ligi Patrjotów. Intencje były najpoczciwsze, ale zadanie było ponad siły autora. Barrès stanowi splot psychologiczny tak zawiły, a równocześnie tak organiczny, że nie takiej ręki wymaga i nie takiego wczucia się. Nie zwlekajmy dłużej z werdyktem: Barrès jest nieobecny w książce René Benjamina.

Nie znaczy to ani trochę, aby tych rozdziałów nie warto było przeczytać. Wręcz przeciwnie: są, jak się rzekło, zabawne, a powtóre w usta monologizującego Barrèsa włożono mnóstwo własnych Pana Benjaminowych satyrycznych spostrzeżeń o demokracji i parlamentaryźmie, o trzeciej Republice i Pałacu Burbońskim. Są tu pewne zdania, bogate w treść i nieznające granic ani różnic szerokości geograficznej: „*Le trait commun des parlementaires est de perdre leur personnalité. Plusieurs causes à cela: la ruine des convictions par le laisser-aller d'une camaraderie qui n'est que le lâche désir de vivre sans histoires*"... Jakżeż więc? Czy istotnie „wspólną cechą parlamentarzystów jest zatrata osobowości?" Czy rzeczywiście powodem tego jest tchórzliwa bierność wygodnego koleżeństwa z przeciwnikami za cenę rozkładu własnych przekonań? Zapewne są wyjątki i te dochodzą czasem do pełni rozkwitu na arenie parlamentarnej, coprawda właśnie za cenę władczego uratowania swej osobowości i bezkompromisowego zachowania swych zasad, mimo tłumnego targu i tarcia. Ale jakżeż trudno o te wyjątki i jakże grozi każdemu to ścieranie zasad pod pozorem wygładzania kantów!

Można też podziwiać dyskretną sztukę, z jaką nasz autor jednem cichem słowem wsuniętem *en passant* piętnuje pewne zwyczaje klik, będących u władzy. W Wersalu, dnia 17 stycznia 1920, pogromcy Clemenceau a poplecznicy Deschanela rozprawiają w galerji, oparci „*contre le buste d'un genéral inconnu*". Jakżeż to łatwo stawiać pomniki i popiersia różnym wielkościom - efemerydom: za parę pokoleń posłużą one za wygodne oparcie dla pokrewnych sobie miernot.

Najpiękniejszą jednak część tomu stanowią ostatnie jego karty, poświęcone zwycięzcy z nad pierwszej Marny. Marszałek Joffre znany był z swej małomówności. Przeszedł do legendy jako lakonik. Możnaby może było życzyć sobie, by mu nasz René Benjamin był kazał powiedzieć sześć albo ośm słów, a nie właśnie siedm, ale i temi siedmioma cieszyć się wolno szczerze.

A rzecz się miała tak.

W towarzystwie pewnego notarjusza, dawnego kolegi szkolnego Joffre'a, nasz autor dostał się do pięknej i stylowej pracowni swego bohatera, położonej w samem centrum dostojnej fasady *Ecole de guerre.* Rozmowa potoczyła się charakterystycznie: kolega rejent gadał obficie i rozlewnie, zaś marszałek uśmiechał się i, od czasu do czasu, wtrącał swoich siedm słów...

Niektóre z nich — i to bardzo jest ludzkie — nie bardzo są warte powtórzenia. Inne stają się dopiero zrozumiałe jako aluzje do szczegółowych faktów z życia armji francuskiej za czasów pokoju i wojny: „Miałem parę miesięcy dla przygotowania sztabu... W czasie pokoju pewne względy moralne uniemożliwiają przeprowadzenie wszystkich nominacyj... Byłem zmuszony... rozstać się... z wieloma szefami korpusów"...

Limoges! miejsce zesłania wielu dymisjonowanych generałów. Wiadomo, że miasto to wzbogaciło język o jeden neologizm, czasownik *limoger*.

Chcąc swego rozmówcę jakoś wyprowadzić z milczenia, koleżka-notarjusz wpada w liryczny entuzjazm, i woła: „*Joffre, parle - nous de tes ordres*"! jak to właściwie było z rozkazem ofensywy, we wrześniu 1914?? Odpowiedź cicha, prosta brzmi: „*La guerre est une histoire sans paroles*"... Wojna jest historją bez słów"...

Wreszcie, nasz moralista-biograf zmyśla zapytania coraz bardziej kłopotliwe dla marszałka: co czyta? czy lubi Victora Hugo? Co sądzi o Bogu? ale siódme i ostatnie odezwanie się ofiary brzmi cicho i dyskretnie:

„...*Chacun son métier*"!

Nie jego *métier* jest odpowiadać w tak zawiłych materjach...

Skoro już tak zgrabnie Renè Benjamin wprowadził nas w legendę Joffre'a, zakończmy to sprawozdanie paru autentycznemi jego powiedzeniami.

W trzy lata po wybuchu wojny, grupa posłów z Izby deputowanych przybywa do generalissimusa z wyrzutami:

„Generale, obiecywałeś, że się wojna skończy za rok. Jakżeż teraz“??

Odpowiedź brzmiała prosto:

„*Eh bien, messieurs, c'est que je me suis trompé*“. Dyskusja była przecięta.

A gdy, po zwycięstwie i pokoju, zaczęto zastanawiać się, kto właściwie zwyciężył nad pierwszą Marną, on czy Gallieni? Joffre nie brał udziału w dyskusji, a tylko wyraził się kiedyś po swojemu: „Nie wiem, czy ja Marnę wygrałem, ale wiem, że ją Niemcy przegrali“.

Wygrana Marna i parę lakonicznych powiedzeń — oto wszystko, co sprawi, że posąg Joffre'a nie będzie nigdy podobizną nieznanego generała.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

PROROCTWO KSIĘDZA MARKA

PRZEPOWIEDNIA cudownego zmartwychstania Polski wśród powszechnej katastrofy wojennej, odkąd ją ogłosił w Paryżu ze starego rękopisu Siemieński (1841), wryła się głęboko w umysły Polaków. Egzegezę rozpoczął Mickiewicz, który ją odniósł do r. 1772, i powiązał z równie wysokiem natchnieniem Skargi, a pewien ustęp wytłumaczył, jako zapowiedź rewolucji francuskiej. Tarnowski wprost nie wiedział, co z tym tekstem zrobić: „jeżeli to istotne objawienie, proroctwo w znaczeniu proroctw Starego Zakonu, wtedy mówić o tem razem z dziełami ducha ludzkiego, sądzić jak jedno z nich, niemożna. Jeżeli zaś jest tylko egzaltacją i złudzeniem,... wtedy jeszcze nie mogłoby należeć pod sąd krytyczny i umiejętny, i wtedy najlepiej, najwłaściwiej szanować takie religijno-patrjotyczne złudzenie i nie roztrząsać go... W niepewności, czy to jest wyższe lub ludzkie natchnienie, najlepiej milczeć i nie uważać tego za rzecz literatury“. Następca Tarnowskiego na katedrze, Ign. Chrzanowski, znalazłszy w Bibl. Zamoyskich w Warszawie pierwodruk „Proroctwa“ p. t. „Wierzczba dla Polski w roku 1763 napisana“, uznał, że nie może milczeć, i w zbiorowych „Dziejach Literatury Pięknej“ (wyd. Pol. Akad. Umiejętności, Encykl. Polska) zakwestjonował autorstwo ks. Marka, tudzież związek między wieszczbą, a poezją konfederacką. Prof. St. Pigoń, idąc tymże śladem, starał się wyprowadzić treść polityczną wiersza z konkretnych faktów oraz nastrojów r. 1763, a jego artystyczne środki— z „Eneidy“ Wergiljusza. Wreszcie prof. J. Ujejski, („Dzieje polskiego mesjanizmu do powstania listopadowego włącznie“ Lwów 1931), przyjmując zresztą datę, ustaloną przez Chrzanowskiego, pozostawia „Proroctwo“ księdzu Markowi, i przyznaje mu wpływ na poezję konfederacką. Wszyscy są zgodni w podziwie dla wysokiego natchnienia autora-jasnowidza, ale wszyscy przystępują do wykładania tekstu z wielką nieśmiałością.

Może metoda historyczna przyjdzie tu z pomocą historykom literatury.

W zakresie krytyki wewnętrznej interesuje nas przedewszystkiem czas powstania utworu. Trzeba przyjąć zgóry, że data umieszczona na druku nie jest w XVIII wieku miarodajna do ustalania daty chwili narodzin dzieła. Czyż Stan. Leszczyński nie próbował odnieść do r. 1733 swego „Głosu Wolnego“, który napisał w latach 1734—7, a ogłosił naprawdę w 1749? Czyż Staszic nie dał swoim „Uwagom nad życiem J. Zamoyskiego“ sztucznej daty 1785 roku, choć je drukował bezpośrednio przed Sejmem Wielkim? Jeden autor chciał związać pomysły reformatorskie ze wspomnieniem smutnem pogwałconej elekcji, drugi chciał uniknąć przypuszczeń, że pisze dla pewnego obozu, na pewien szczególny moment, a nie *sub specie aeternitatis*. A już konfederaci barscy najmniej sobie robili ceremonij z datowaniem aktów: „bezkrólewie“ ogłosili niby to 9 sierpnia 1770 r., naprawdę zaś 22 października; inwektywę na Czartoryskich niby 4 kwietnia, naprawdę zaś zredagowali ją w początkach sierpnia, a ogłosili 22 października, rzeczy, uchwalone w Preszowie, datowali z obozu pod Konieczną i t. d.

Zresztą pierwodruk „Proroctwa“ nawet nie próbuje wmawiać czytelnikowi, że sam się ukazał w r. 1763: nosi on tytuł „Wieszczba dla Polski w roku 1763 napisana“, a wyszedł z Drukarni Wolnej. Otóż Drukarnia Wolna, założona przez Jana Potockiego, funkcjonowała podczas Wielkiego Sejmu. Ktoś, zalazłszy w rodzinnych szpargałach proroctwo, ogłosił je w tej drukarni, jak tyle innych druków politycznych, dla wywołania patrjotycznego nastroju, i prawdopodobnie w dobrej wierze postawił datę r. 1763. Niemniej ta data jest mylna. W chwili wygaśnięcia Wojny Siedmioletniej, która tak dobitnie zademonstrowała nicość Polski i sprawy polskiej w systemacie Europy, najdalej było do przypuszczeń, że Polska zwiąże się z jakimś dwugłowym, czarnym orłem, i dzięki temu spotężnieje; nowa wojna powszechna napawała wówczas lękiem każdego, kto rozumiał, że Polska jakby cudem nie zginęła między szponami trzech czarnych orłów, nie znamy też w ówczesnej Rzplitej żadnego obozu i żadnego człowieka, z którego dążeniami możnaby uzgodnić przepowiednie anonima, bądź według ułamkowej wykładni dotychczasowej, bądź według tej — niemal całkowitej, którą poniżej ustalimy. Są zresztą inne dane, które pozwolą nam przenieść proroctwo do innej chwili, późniejszej. Czemuż w takim razie nakładca z doby Sejmu Czteroletniego napisał datę 1763 r.? Bo to była w mniemaniu patrjotów *origo malorum*, koniec dobrobytu i pogody, początek udręczeń i burzy — po tym momencie jęła się Polska grzebać w popiele, więc to był moment najwłaściwszy na wystąpienie proroka. Nawiasem mówiąc, zacny wydawca dostosował nieco wątpliwy tekst do potrzeb chwili: nie mogąc się pogodzić z oparciem Białego Orła na piersiach czarnego dwugłowego, napisał po wierszu:

„Jednogłów piersi czarnego osiędzie“

słowa:

„Z którym wojując cuda czynić będzie“,

zamiast pierwszego brzmienia:

„Z którym złączony cuda czynić będzie“.

Jeżeli więc nie ostatnie bezkrólewie, to jakaż chwila zrodziła „proroctwo“? Spróbujmy najpierw wczytać się tekst przez okulary—filologa. W zbiorze Kolbuszewskiego mamy dwa wiersze, jakby pokrewne: jeden nosi nazwę „Tekst kabalistyczny

o konfederetach", drugi „Opis wierszem ojczyzny sukcesów w krytycznych czasach zostającej".

Pokrewieństwo zasadza się tu nietylko na porównaniu Polski do Feniksa, odradzającego się z popiołu — ta myśl mogła być w szerokim obiegu, odkiedy nuncjusz Pignatelli, na trjumfalnie tragicznym sejmie Jana Kazimierza w r. 1661, witał polskiego Feniksa, zwycięskiego nad tylu napastnikami. Pokrewieństwo widoczne jest w rozważaniach nad konjunkturą polityczną i w podobnej tu i tam symbolice, skoro zaś pokrewieństwo jest — to który utwór uznać uznać należy za starszy, pierwotny, a który za pochodny lub młodszy? Jeden gada stylem poziomym, wytartym w aktualności:

„Nie dziwuj się, proszę myślą swą codzienną,
Zoilu gwarancie przewrotny
Na co konfederat swą myślą zbawienną
Spóźnia umysł z czasem obrotny".

Drugi brzmi jak dzwon ze szlachetnego metalu; jeden jedzie na kulawym Pegazie, drugi szybuje rytmicznie, wspaniale; jeden miesza wypadki bieżące z alegorją, drugi od początku do końca operuje przemyślanemi symbolami. Chyba to samo zestawienie wystarcza, aby określić stosunek Tekstu do Proroctwa, jako stosunek próby do skończonego dzieła, a nie naodwrót. Dlatego też Tekst znalazł się w jednym egzemplarzu, a Proroctwo — w dziesiątkach: niedołężna próba nie zasłużyła na rozpowszechnienie, doskonała przeróbka zyskała sukces.

Otóż chwilę powstania Tekstu można z jego treści wywnioskować bardzo ściśle: był to lipiec lub początek sierpnia r. 1768, kiedy Kraków dzielnie ale bezskutecznie podtrzymywał walkę, w której ulegli Barzanie. Proroctwo wytrysnęło nieco później, ale z tego samego zdroju, i należy ono, wbrew wszelkim wątpliwościom, do poezji konfederackiej.

Teraz wróćmy do właściwej metody historycznej. Kiedy, wśród jakich źródeł wynurza się Proroctwo po raz pierwszy? Nie wśród źródeł do 1763 r.; nie w roku 1768; dopiero na przełomie roku 1769 i 1770 — przynajmniej według godnych zaufania, chronologicznie powstających kopjarjuszów Ossolineum. Rozpowszechniać się zaczęło jednak później, w latach rozbioru i po rozbiorach. Co stąd wynika? Wynika niezbicie, że autorem wiersza nie mógł być ksiądz Marek.

Kwestjonowano jego autorstwo już poprzednio, ale czyniono to przedwcześnie. Choćby wieszczba powstała w r. 1763, to jednak słynny kaznodzieja mógłby ją wydać na świat, skoro, jak wiemy z korespondencji saskiej, działał i robił „cuda" już od r. 1753, skoro przepowiadał obalenie tronu Ciołka i powrót domu Saskiego, skoro wogóle prorokował, co do publicznej podali wiadomości Barzanie. Ale ks. Marek 20 czerwca 1768 r. wpadł w Barze w ręce Moskwy i został pod najczujniejszą strażą wywieziony do Kijowa, skąd już ani jedno słówko jego do kraju nie doleciało; prawie wszystkie ogłoszone przez Wł. Smoleńskiego listy są z czasów znacznie nowszych, niektóre—z przed upadku Baru, ani jednego z niewoli. Możnaby ostatecznie przypuścić, wbrew wszelkiej oczywistości, że napisany w niewoli (bo po sierpniu 1768 r.) utwór „cudownem" zrządzeniem losu przeniknął do kraju, gdyby nie ten fakt, że ks. Jandołowicz wogóle nigdy wierszy nie pisał i nawet dwóch rymów nie dobrał.

W takim razie rytmy i rymy Proroctwa dobrał ktoś inny. Kto i w jakim celu? Przedewszystkiem właśnie: w jakim celu?

Dajmy pokój rekonesansom, okrążaniom i podkopom. Przypuśćmy do wierszowanej tajemnicy — szturm frontowy. „Dotąd Królestwo Polskie nie kwitnące; póki nie będzie wstępnie władające. Ale jak tylko następny nastanie, — Drgną strachem lutrzy, schyzma i poganie. Pierwsi dwaj swojej hardości przypłacą, a drudzy prawo wraz z państwem utracą".

Lutrzy — toć chyba bez kwestji Prusy; schyzma — to Moskwa; poganie — to trzeci sąsiad Polski — Turcy (nietylko Tatarzy). Że w roku 1769 tęskniliśmy do ukrócenia hardości Moskwy i współdziałających z nią Prus, to rzecz bezsporna. Ale za cóż to ma utracić państwo opiekunka nasza Turcja? Trzeba wiedzieć, że nie wszyscy, zwłaszcza wśród duchowieństwa, byli tą opieką zachwyceni, że pomawiano głośno Barzan o przehandlowanie Turkom Kamieńca, że pewien odłam doradców Mustafy naprawdę do tego zmierzał, i że właśnie 21 czerwca 1769 roku Porta wydała manifest pod Chan Tepe, równoznaczny z wypowiedzeniem wojny Rzplitej. Wielu nawet patrjotów podejrzewało ją o plany zaborcze, godne „chrześcijańskich" Lutrów i schyzmatyków. W tem oświetleniu akcent przeciwturecki wieszczby już się nie wyda dziwnym.

Jakaż to zmiana stosunków w Polsce przerazi trzech jej sąsiadów? Autor-sfinks woli jasno się nie wypowiadać. Wyrazu wstępny, w znaczeniu dzisiejszem, prawniczem, mowa stanisławowska nie znała. Lecz ów „następny", czy to przypadkiem nie sukcesor? Czy nie dziedzictwo tronu uczyni Polskę groźną dla trzech sąsiadów? Tu znów trzeba wiedzieć, że najwybitniejsi wodzowie Barzan: Adam Krasiński, Pac, Wessel, nauczeni doświadczeniem ostatniego bezkrólewia, pragnęli gorąco sukcesji tronu w domu Saskim. Jak wyobraża sobie nasz prorok przeobrażenie elekcyjnej Rzplitej w dziedziczną monarchję, i jakie przeczuwa skutki:

„Dwugłowy w kolor przybierze się biały,
Jednogłów piersi czarnego osiędzie,
Z którym złączony cuda czynić będzie".

Wyobraźmy sobie Polskę ówczesną niepodzieloną, dynastycznie związaną z Austrją, potęgę od morza do dwóch mórz, bo od Bałtyku do Euksynu, Adrjatyku i Tyrrenu: komu na dobro wyjdzie takie zjednoczenie?

„Kościół na skale stanie się wspaniały".

Prof. Ujejski dziwi się: czyżby skała znaczyła tu opokę? Ależ oczywiście, „Kościół na skale" to Kościół Piotrowy, katolicki, którego sny o krucjatach teraz nareszcie się urzeczywistnią i uwieńczą trjumfem: Turcja przynajmniej w Europie państwo utraci:

„Natenczas wszelki pielgrzym swoje śluby
Złoży przy grobie Bogu, trybut luby,
Niewolnik wolny wyjdzie bez okupu"...

t. zn. skończy się raz na zawsze niewola porywanych w jasyr chrześcijan. Tu następuje parę symboli niejednakowo przejrzystych. Strzelcem, co się pozbędzie łakomego łupu, mógłby być Fryderyk, łupieżca Śląska, ale to raczej chodzi o łucznika Tatarzyna i jego jassyr; Kogut, to oczywiście Francja, której „chytrość" tj. chciwość, od tak dawna bolesna dla Habsburgów, zrezygnuje wobec połączonych potęg austrjackiej i polskiej. Rosa, mająca zmienić naturę

zimną w ciepłą, to może Ruś, grawitująca dotąd ku Moskwie, a może sama Rosja, odporna wobec polskich wpływów, bo pyszna swą mocą fizyczną.

Niestety wstąpienie na tron jednego z arcyksiążąt i dynastyczny związek Warszawy z Wiedniem spotkają się z wściekłym oporem innych naszych sąsiadów. Wybuchnie wielka wojna, która w popiół obróci nasze miasta i sioła, (choć nie spopieli samego państwa). Państwo, jak Feniks, z popiołów powstania, całej Europy ozdobą się stanie.

Śmiemy uważać powyższą wykładnię za jedynie racjonalną, wyczerpującą cały krąg myśli autora. Co więcej, rozumowanie dedukcyjne zbiega się tu wybornie z indukcją. Byli wśród pierwszych Barzan, obok turkofilów, także austrofile; spiskowcy, zgrupowani na początku r. 1768 około Anny Jabłonowskiej, myślą o powołaniu na tron królewicza Albrechta sasko-cieszyńskiego, zięcia Marji Teresy („następny" — po Auguście III), do Wiednia kołacze Ignacy Potocki, starosta kaniowski, do Marji Teresy księżna Anna — i dopiero w miarę odsłaniania się niechętnej postawy Burgu wobec konfederacji, ta ostatnia przywiązuje się wyłącznie do Drezna. O ileż pewniej jednak spierałby biały „jednogłów" na piersiach „czarnego" dwugłowa, gdyby ów miał więcej odwagi i wdzięczność za ocalenie od Turków!

* * *

Lecz gdzież nasz wieszcz? Takby się chciało widzieć oblicze wieszcza! Chętka, niestety, trudna do zaspokojenia. Poeci i wierszokleci barscy mieli powody do ukrywania swych nazwisk: raptem zadenuncjuje ich jakiś „adherent" czy dyssydent, jak ów „Władysław" bez nazwiska w rkp. 1145 Akademji, co oskarża pana Bartłomieja Rudnickiego o pisanie wierszowanych paszkwilów, wpadną kozunie, zrujnują dom, zbiją służbę, zabiorą poetę do obozu koncentracyjnego na Pragę — i stamtąd do Kijowa. Niewielu też publicystów i wierszopisów ujawniało swe nazwiska z taką determinacją, jak pan Kazimierz ze Skrzynna Przystałowski, zesłaniec, autor „Stancyj" konfederackich, ilustrujących monotonną drogę krzyżową na wschód. Innych twórców p. Kolbuszewskiemu wyjątkowo tylko udało się oznaczyć.

Ale od czegóż archiwalja rosyjskie? Jakby wyglądała nasza *storia del risorgimento*, gdybyśmy nie mieli raportów ambasadorów i gubernatorów, uśmierzycieli i żandarmów? Otóż pewien trzeciorzędny uśmierzyciel, major Heitzig, raportuje pułkownikowi von Rönne wiosną 1771 r., że zdybał w miasteczku Bojanowie księdza Garlickiego, gdy oddawał do druku *„Predigten und Gebetbücher zum Ruhm der Konföderiren"*. Pułkownik, naturalnie, każe pilnować buntownika, jak oka w głowie, i odstawić go na Pragę[1]).

Ależ w pięćdziesięciu bibljotekach i archiwach, które przetrząsnęliśmy, niema żadnej książeczki do nabożeństwa dla konfederatów, prócz tej, której jedyny egzemplarz rękopiśmienny, mianowicie kaligraficzny odpis z XVIII wieku, posiada w Warszawie p. Jan Michalski, a którą na Wielkiej Emigracji wydrukowano raz w Paryżu r. 1845, potem w Lipsku w 1863, zawsze z dowolnemi zmianami i dodatkami, nawet z dodatkiem „Boże coś Polskę" i „Chorału" Ujejskiego. Z tej to książeczki wziął p. Kolbuszewski dziesiątek pieśni, skądinąd zupełnie nieznanych, widać nawet niebardzo puszczonych w obieg. I tej książeczki autorem okazuje się aresztowany przez siepaczy ksiądz Tomasz Strzemieńczyk Garlicki.

Dobry to nasz znajomy. W młodości pielgrzymował do Rzymu i zostawił wspomnienie człowieka niezupełnie normalnego[2]). Później „jako w szkole świata polskiego z najmłodszych lat z rozmaitych funkcyj mając jakąkolwiek eksperjencją", zbliżył się zwłaszcza do biskupa kijowskiego Załuskiego, i miał odeń obiecaną kanonję, ale nim ją otrzymał, biskupa wywieziono do Kaługi. Rozżalony, wyrabia sobie audytorjat u nuncjusza Duriniego[3]), ale jak tylko wybuchła konfederacja krakowska (czerwiec 1768), rzuca się w jej wir i zostaje „krucyferem", kaznodzieją. Zupełnie jak ksiądz Marek, miewa kazania w kościołach i obozach, przed bitwami i po bitwach[4]) Po upadku Krakowa wzięty przez Moskali, zaszyty w skórę, wysłany do Połonnego, by stamtąd iść w tropy księdza Marka. Udaje mu się jednak spoić szyldwacha[5]) i „cudownie" zbiec do nowej konfederacji krakowskiej, jaką organizuje na Podgórzu książę Marcin Lubomirski. Ów książę, jako zięć ck. feldmarszałka Hadika, ma mocne plecy w Austrji, ale wśród kolegów konfederatów nie cieszy się mirem, i to tak dalece, że partja saska odbiera mu marszałkostwo ziemi krakowskiej, słusznie podejrzewając, że związany z Wiedniem magnat na wiedeńskim rumaku zechce wygrywać wyścig, i interesy saskie swoim ambicjom poświęci. Gdy nie pomogły kazania i prośby[6]), gdy saksończycy rozbili i opanowali obóz księcia, krucyfer Garlicki w maju r. 1769 jedzie do Wiednia, dufny w swą wymowę i doświadczenie, aby za pośrednictwem Hadika wyrobić sobie posłuch u dworu, zaś księciu zjednać wysoką protekcję. Parę miesięcy spędził obozowy poeta nad Dunajem, i tak zasmakował w splendorach Burgu, że *„ab ingrata patria"* myślał się tam przesiedlić na dobre, i już jakieś swoje księgi z Wenecji sprowadzał. Co więcej, pisał do Lubomirskiego: „mowy moje na pograniczu do konfederatów miewane, z rozkazu nuncjusza (Viscontiego) musiałem tłumaczyć po łacinie, będą drukowane we Włoszech, bo *in Imperio ob statisticas rationes* nie mogą być. W pisanych egzemplarzach mają je już najpierwsi ludzie i kazali mi powiedzieć, żem (*sic*) nie wart nietylko krucyferem być polskim, ale tym przed którym noszą krzyże". Dodajmy, że Garlicki w Presburgu uzyskał audjencję u Marji Teresy, tudzież u królewicza Albrechta[7]).

Kiedy wrócił na Śląsk, nie znalazł jednak, jako lubomirszczyk, uznania ani u biskupa Krasińskiego[8]), ani u Generalności. Osiadł w Częstochowie, lecz i tam nie zaznał spokoju. Generalność, podejrzewając go o pokątne korespondencje,

[1]) Autogr. 253, Bibl. Narodowej w Warszawie.

[2]) M. Loret: Życie polskie w Rzymie, 233.

[3]) *Extrait des nouvelles de Rome* — zapewne z listó mark. Anticiego, przy depeszach Repnina w Mosk. Arch. Spr. Zagr.

[4]) J. Krasicka: Kraków i ziemia Krakowska wobec Konfederacji Barskiej.

[5]) List z Krakowa 26 października w Archiwum Drezdeńskiem.

[6]) G. miał być „aniołem pokoju". Lubomirski do Michała Krasińskiego 26 kwietnia 1769. Rp. Bibl. Ord. Kras.

[7]) Listy G. do M. L. 30 maja, 19 lipca i 29 sierpnia, tamże.

[8]) Parę listów do A. Kr. w rp. Bibl. XX. Czartoryskich.

kazała go wydalić z twierdzy (12 grudnia 1770)[9]), i wnet już potem dostał się biedak w ręce Moskali.

Teraz zestawmy myśli i fakta: Duch „Proroctwa" konfederacki; orjentacja — austrjacka; pomysł polityczny oparcia białego orła polskiego na piersiach dwugłowego austrjackiego przy zaprowadzeniu następstwa tronu; podróż do Wiednia księdza Garlickiego i jego audjencje; jego wiara we własne poetyckie posłannictwo; jego zdolność rymotwórcza, wypróbowana w pieśniach; reminiscencje ksiąg proroczych Starego Testamentu tamże; troska o zagrożoną w razie wojny powszechnej „oną górę złotem otoczoną kołem" — oczywiście Jasna Góra częstochowska — czy to wszystko nie składa się w jedną zrozumiałą całość?

Możnaby oczywiście stawiać jeszcze pytajniki: jeżeli ks. Garlicki był autorem „Proroctwa", to czemu go nie umieścił w książeczce? czemu pozwalał szerzyć się opinji, że wieszczba pochodzi od ks. Marka? I można by zaraz replikować, że wieszczba podsygnowana nazwiskiem ajenta księcia Marcina, lub choćby przypisywana mu na domysł, straciłaby odrazu kredyt, że ów kredyt najlepiej można było zdobyć pod maską barskiego cudotwórcy, który ze swojej celi w Kijowie nie mógłby nawet wyprzeć się autorstwa. Zapewne, za przyznaniem Garlickiemu „wieszczby" przemawia tylko wielkie prawdopodobieństwo, podczas gdy jej sens ustaliliśmy z całą pewnością. Ale zachodzi jeszcze jedna możliwość, której zapewne nigdy nie uda się ani usunąć, ani zamienić w pewnik: że ksiądz Marek naprawdę wróżył Polsce świetne odrodzenie i ją porównywał do Feniksa, że tę tradycję podjęli słuchacze i paru z nich, zdolnych do rymotwórstwa, dało przepowiedni szaty poetyckie wraz ze szczególnem politycznem ujęciem, raz w duchu szybkiego porachunku ze Stanisławem Augustem, jak chciała frakcja saska (Tekst kabalistyczny), raz w sensie unji polsko-rakuskiej, jaka przebłyskiwała jeszcze pierwszym spiskowcom przed Barem (Proroctwo). Związek poezji z polityką, niezawsze pożądany, jeszcze niebezpieczniejszy dla polityki, niż dla poezji, w danym razie złych owoców nie przyniósł: „Proroctwo ks. Marka", nawet pozbawione mglistości, wytłumaczone na język polityczny, nie przestanie bądź tworem niezwykłego, szczęsnego natchnienia.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

[9]) Protokół Generalności, rp. Bibl. Przyjaciół Nauk w Wilnie, 94.

ZMIERZCH OPERY

DZISIEJSZY stan sztuki tem się odznacza, że bardziej, niż kiedykolwiek, jej są potrzebne środki ochronne: opieka umysłowa, pomoc materjalna, nakład pracy wszelkiego rodzaju, sprytu, propagandy i reklamy. Bez tych nieustannych zastrzyków, chora jakoś do zdrowia nie wraca.

Nieinaczej ma się rzecz z operą. Budzi ona zajęcie nietyle sobą, ile kwestjami, jakie się dokoła niej wytwarzają. Mówi się o nich dużo i często. Gdyby jednakże przedmiotem uwagi było choć raz jakieś niepospolite dzieło, jego twórca, lub chociażby jakiś niebywały w swem mistrzostwie akt odtwórczy — wydoskonalenie techniki spospolitowało odtwórczość — byłoby to stokroć więcej warte, niż wszystkie zebrania, narady, ankiety, walki, targi i układy, nie dające, jak dotąd, żadnego rezultatu. Od lat kilku narady te trwają, prasa akompaniuje im z intencją ratowania sytuacji, chwilami beznadziejnej. Czasem uderza w fanfarę, chcąc jakieś resztki ocalić, to znowu wygłasza żałośne skargi na temat upadku, zaniedbywania obowiązków wobec sztuki, niezrozumienia jej celów wysokich i t. p. Każdy niemal z doradców wierzy, iż bliski jest rozwiązania zagadki, że umie wskazać właściwą przyczynę zła i miałby sposób taki lub owaki na tegoż usunięcie albo przynajmniej złagodzenie. A tymczasem stan rzeczy nietylko nie zmienia się na lepsze, lecz z roku na rok stale się pogarsza. Bo, nie oglądając się na zagranicę, z którą zresztą trudno się nam mierzyć, cóż widzimy i słyszymy dokoła siebie? Poznań zamknął operę, Katowice tak samo, Lwów nieinaczej, a Warszawa stale się trzyma polityki pogróżek: każdy sezon jest „ostatnim", po zakończeniu następują dymisje całego zespołu, następnie przychodzi kolej na odwrót i zmianę decyzji, postanowionej poprzednio, wreszcie nowe rokowania, zamiary uszczuplenia personelu, ale angażowanie wszystkich sił, nawet z pewną ilością nieużytecznych. I wszystko, jak dawniej, *da capo al fine* *) A publiczność odpowiada na to frekwencją stale się zmniejszającą...

Polityka stolicy wobec opery ma przedewszystkiem praktyczne sprawy na oku i zupełnie słusznie. Nikt też nie oponuje temu, a nawet wszyscy ich słuszność wysuwają na pierwszy plan. Oczywiście teoretycznie, bo praktycznie dałoby się im zaradzić tylko wielkiemi pieniędzmi, a tych dziś nikt niema. Chodzi zaś głównie o to, że zamknąwszy operę, cały ogromny zastęp pracowników personelu artystycznego, technicznego i administracyjnego pozbawiony będzie chleba. To pierwszy punkt. A drugi, to ambicja, srodze tem dotknięta, że stolica państwa traci w operze jeden z najważniejszych środków reprezentacyjnych. Bo do dziś dnia utrzymała się ogólnie opinja, że jednak okazalszego nic nie mamy ponad — galowe przedstawienie w operze. Nie zastąpi takiego widowiska ani „galowe" kino, ani „galowe" słuchowisko radjowe, ani uroczysta „akademja" z mowami i koncertem, co ostatecznie najprędzej mogłoby być wzięte w rachubę, jakkolwiek operze dorównać nie może.

Względy i uczucia ludzkości, dotąd jeszcze nie wykreślone z naszych programów, najsilniej stają po stronie owych pozbawionych chleba ludzi w liczbie sięgających kilku tysięcy. A za próżnością na punkcie instytucyj o kulturze świadczących przemawiają także racje poważne i na niedaleką metę praktyczne. Mielibyśmy się wstydzić przed zagranicą? To już lepiej czekajmy, aż ona zamknie swoje opery.

A wypadki zamykania oper zagranicą mnożą się z każdym rokiem. Skargi na obojętność publiczności dają się słyszeć zewsząd, ubolewania nad bra-

*) W tej chwili, miasto nie przyrzeka żadnej subwencji, objąć operę mógłby zatem tylko prywatny przedsiębiorca. Orkiestra Teatru Wielkiego, pomna powodzenia opery za dyrekcji pp. Wayda - Korolewicz, zwróciła się do nich w tej kwestji.

kiem dzieł atrakcyjnych tak samo. Na każdym kroku deficyt pieniężny i moralny. Jak na ironję, ludzie z głosami rodzą się ciągle, podobnie jak ludzie, pragnący świat cały zajmować produktami swemi literackiemi i muzycznemi. Produktom literackim życie jednakże dostarcza nieustannie paliwa, ale z muzycznemi jest znacznie gorzej. Sama chęć zwrócenia na siebie uwagi nie wystarcza, a już t. zw. „rzeczowość“, wymyślona przez najnowszą estetykę, staje się tylko zgubą twórczości muzycznej, bo każdy kompozytor tłumaczy ją sobie po swojemu, z czego powstaje chaos, ten zaś nie przypada normalnemu słuchaczowi zgoła do smaku. W dziele scenicznem, od którego treści literackiej wymagamy coraz więcej, taka muzyka chaotyczna stanowczo przeszkadza do wywołania wrażeń. Zdarza się, że tu i owdzie, jakaś grupa zwolenników tego „kierunku“, przy wielkim wysiłku pomocniczych środków: wystawy, nowych sztuczek technicznych lub ekscentrycznych *trick*'ów, a najczęściej jeszcze jakichś czysto personalnych atrakcyj, przecież uzyska bodaj chwilowe powodzenie. Ale są to wypadki rzadkie. Dzisiejsze utwory operowe nie są poprostu zdolne do życia na scenie i już się tak rodzą.

Przypuściwszy zatem, że z wielkim trudem ocalimy egzestencję śpiewaków i uchronimy od zagłady placówkę reprezentacyjną, zdaniem niektórych niezbędną, to przecież pozostanie jeszcze troska o rzecz tak ważną, jak materjał repertuarowy, nie na dziś i nie na jutro, lecz na lata dalsze, bo powstrzymując zamknięcie opery na rok, nie możemy zamknąć oczu na jej przyszłość!...

Troska o materjał na przyszłość nie zdaje się nikomu bardzo na sercu leżeć. Jedni sądzą, że dotychczasowa literatura operowa, istotnie bardzo bogata, nie wyczerpie się nigdy, drudzy wierzą w przyszłość bieżącej twórczości, odpierając wszystkie zarzuty utartem zdaniem: niech tylko genjusz się jakiś ukaże, to zabaczymy! Ale genjusz się nie ukazuje. Cała więc nasza nadzieja leży w „renesansach“. Muzykę klasyczną uważamy (słusznie) za kapitał, do którego dodaje się jeszcze i Wagnerowski dramat muzyczny, po którym istnieje dla dzisiejszej sceny jeszcze cały Puccini, częściowo Ryszard Strauss, kilka dawniejszych oper w pojedynkę: „Faust“ Gounoda, „Carmen“ Bizeta, „Hugenoci“ Meyerbeera, „Cyrulik“ Rossiniego, „Rycerskość“ Mascagniego, tu gdzieś wyjątkowo „Peleas i Melizanda“ Debussy'ego, a tam może „Luiza“ Charpentiera. Renesans obejmuje Verdiego niemal w całości, także i Donizettiego. W powiciu jest jeszcze renesans Händlowski, o szansach narazie bardzo problematycznych.

Gdyby o samą ilość chodziło, a tembardziej gdybyśmy się zgodzili pozostać przy dawnym repertuarze, powiększonym ewentualnie odkryciami wielu utajonych dotąd przed naszem okiem klejnotów przeszłości, to zapas obecny wystarczyłby może i na dłuższe lata. Ale pożądanie nowości i snobizm, który nie zna szczerego artystycznego użycia i leci tylko za jakiemiś zmieniającemi się hasłami, ślepo i bezmyślnie, nie zadowolą się tem, wskutek czego do ustalenia się jakichś określonych upodobań, na pewien okres czasu, przyjść nie może.

I tu dopiero okazuje się jasno, iż opera, jako rodzaj artystyczny, straciła grunt pod nogami, i że to jest katastrofalnem jej nieszczęściem. Bo uratujemy na jakiś czas — wracam znowu do kwestyj lokalnych — egzystencję artystów, uchronimy ich od tragicznego bezrobocia, ocalimy honor naszej kultury wobec zagranicy (to już zasługa nieco mniejsza, wobec tego, że nie wiemy, jak się i zagranica wobec opery zachowa); lecz na brak sił żywotnych samej opery, podobnie jak na brak współczucia dla jej niemocy u społeczeństwa, rady nie znajdziemy.

Świat dzisiejszy odwraca się najwidoczniej od tej, przez tyle lat ubóstwianej piękności; radośne swe upodobania umieścił obecnie gdzieindziej. Podstawowa zasada jej egzystencji wydaje mu się niedorzeczną, tekstem istniejącym dla melodji pogardza, melodji istniejącej dla tekstu nie rozumie, rozrywki w niej nie odczuwa, poważnego celu nie uznaje. W czem zatem miałaby leżeć racja jej bytu?...

W ciągu trzechsetletniego swego istnienia, opera nigdy w takiej sytuacji nie znajdowała się ani na chwilę. Zaczęło się od tego, że pierwsi jej mistrzowie uczyli ją chodzić krokami starożytnej tragedji greckiej, a gdy nabrała pozy i ruchu, pozwolono jej dziewicze swe ciałko pielęgnować jaknajstaranniej, jakoż pod gorącemi promieniami południowego słońca zarumieniła się i zaokrągliła przepysznie. Czar jej młodości i wdzięku zachwycił świat cały, słodka kantylena jej uczuć miłosnych płynęła razem z kaskadami uśmiechów, rulad i trylów, napełniając sobą złociste sale królów i książąt. Ustrojono ją w koronki i brokaty, obsypano brylantami, zawieszono nad nią purpurowe draperje i kryształowe świeczniki, aby najmożniejsi mogli uginać swe kolana przed jej majestatem. A gdy przeszły niefrasobliwe lata młodości i panowania, ktoś jej przypomniał, że wszakże chowano ją w latach dziecięcych na grecką heroinę, więc czy nie należałoby urody swej podnieść wyrazem cierpienia i dostojeństwa, uszlachetnić i wywyższyć powagą. Stała się w lot Ifigenją i Westalką. Lecz to tylko dla podwyższenia liczby swych hołdowników i zdobycia całego już świata, od monarchów aż do ostatnich nędzarzy. Stała się popularną. Nazwano ją wielką i ogłoszono wszechwładną. I byłaby Bóg wie jak daleko zaszła w tem oddaniu się ogółowi, gdyby na jej drodze nie pojawił się kaznadzieja, który w nią wmówił świętość i posłannictwo. Uwierzyła, i już się jej zdało, że chwyta pochodnię kultury do ręki i że do niej przyszłość należy.

Ale burza światowa zgasiła pochodnię kultury...

I tak się stało, że wielka i można doniedawna władczyni uczuwa się bezradną wobec swego położenia. Nie wie, jaka ją czeka przyszłość. Nie wie, do kogo należy. Nie wie, kto ma jej przyszłość zabezpieczyć i komu jest potrzebna naprawdę. Można ją porównać z damą, która, doszedłszy do późniejszego wieku, zastanawia się nad tem, czy lepiej z pomocą kosmetyki odmłodzić się bodaj o jakich lat dziesięć, czy zrezygnować z młodości, zamknąć się w pokoju z zapuszczonemi roletami, jak to uczyniła dosłownie jedna z nieżyjących już dziś wybitnych artystek naszych.

Z tym stanem faktycznym opery jako rodzaju sztuki, z jej zmierzchem widocznym powinni się liczyć przedewszystkiem zarówno artyści, jak i wszyscy adepci wokalnej sztuki scenicznej. Bo jeżeli odmłodzenie opery miałoby być możliwe, to od nich zależy to głównie.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

NA WIDOWNI

„Żywy pomnik“ na trzech równych kolumienkach. — Fundament ideologji „sanacyjnej“. — Co mówi statystyka? — Czy żyd nadaje się na polonizatora? — Żydzi a Rusini.

W ZŁOCZOWIE, przy współdziałaniu starosty miejscowego, p. Płachty, powstał niedawno „stały komitet“ przedstawicieli „trzech narodowości“ (w skład komitetu weszło trzech polaków, trzech rusinów i trzech żydów). Komitet ten, jako „żywy pomnik“ i wykonawca testamentu politycznego ś. p. Tadeusza Hołówki, stać się ma wyrazicielem i propagatorem programu, w myśl którego rządzący obecnie obóz „sanacyjny“ wyobraża sobie prawidłowy, pożądany rozwój stosunków na terenie Małopolski Wschodniej.

Nie chodzi tu o rozpatrywanie pierwszych kroków komitetu złoczowskiego, które mogą być lokalną tylko ekstrawagancją i na rachunek bardziej odpowiedzialnych czynników zapewne nie powinny być zapisywane. Ważna i pouczająca jest przedewszystkiem analiza podstawowej koncepcji komitetu, mianowicie idei „trzech narodowości“, od szeregu już lat stanowiącej główny drogowskaz, wyznaczający kierunek polityki „pomajowej“ w stosunku do zagadnień wschodnio-małopolskich. Ideę tę z uporem wcielał w życie, w czasie swego urzędowania we Lwowie, b. wojewoda Dunin-Borkowski, organizując głośne podówczas „bloki“ przy wyborach sejmowych i samorządowych. Po dziś dzień słuszność i wartość polityczna owej idei przez nikogo w obozie „sanacyjnym“ nie została podana w wątpliwość. W tych warunkach, ujawnienie kruchości uzasadnień tego pomysłu tem wyraźniej uwydatnić musi potęgę hypnozy, której przy kształtowaniu swych poglądów i programów ulegają przedstawiciele sfer, dzisiaj rządzących, i pozwoli z większą dokładnością wskazać ognisko, skąd ta siła hypnotyczna promieniuje.

Już na pierwszy rzut oka niełatwo zrozumieć, dlaczego trudną i złożoną sprawę uporządkowania stosunków polsko-ruskich w Małopolsce, komplikować jeszcze przez połączenie z nią odrębnej zgoła, specjalnego całkiem uregulowania wymagającej — kwestji żydowskiej. Zdziwienie wzrasta, gdy na rzecz całą spojrzy się pod kątem cyfr statystycznych.

Według spisu ludności z r. 1921 procentowy stosunek „trzech narodowości“ w Małopolsce Wschodniej przedstawia się, jak następuje:

	Polacy	Rusini	Żydzi
woj. lwowskie	57%	36%	7%
„ stanisławowskie	22%	70%	7%
„ tarnopolskie	45%	50%	5%

Z zestawienia powyższego wynika wyraźnie, iż liczebny stan żydów nie upoważnia w żadnym wypadku do traktowania ich jako „trzeciej narodowości“ w Małopolsce Wschodniej, równorzędnie z polakami i rusinami. Nie usprawiedliwia również tego uprzywilejowanego stanowiska ani wyższość moralnych praw żydów w stosunku do pozostałej reszty mieszkańców kraju, ani ich wyjątkowa cnota obywatelska, ani historyczna, cywilizacyjna zasługa. Wszak jakiekolwiek mogłyby istnieć spory co do pierwotnie polskiego czy ruskiego zasiedlenia Grodów Czerwieńskich przed lat tysiącem, żydzi napewno nie mogliby w Małopolsce Wschodniej powoływać się na uprawnienia... autochtonów...

Przytoczone cyfry unaoczniają równocześnie drugi wzgląd, który winien być wzięty pod rozwagę. Wykazują one, iż stosunkowa ilość ludności żydowskiej w województwach lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem nie jest większa, ale niekiedy mniejsza, aniżeli w szeregu województw pozostałych, w całej zaś Polsce (według tegoż samego spisu) ludność żydowska wynosi około 8% mieszkańców. Jeżeli przeto Małopolskę Wschodnią będzie traktować się jako kraj „trzech narodowości“ (polaków, rusinów, żydów), resztę Polski uznać wypadnie konsekwentnie za kraj „dwóch narodowości“ równorzędnych, polskiej i żydowskiej, słowem — za Judeo-Polskę... Czy ten cel stawia sobie polityka „sanacyjna“?

Może jednak szczególne warunki miejscowe, w związku z planem polityki polskiej względem rusinów, nakazują nam odwołanie do żywiołu żydowskiego w Małopolsce Wschodniej i pociągnięcie go do współdziałania z naszemi zamierzeniami? W latach przed wojną światową, żydzi w b. Galicji, wzamian za koncesje polityczne i gospodarcze, gotowi byli przyznawać się zewnętrznie do polskości i przyczyniać się do wzmacniania polskiego zewnętrznie charakteru kraju. Dawało to nam (w zestawieniu z rusinami) lepszą pozycję w ogólnej statystyce ludów b. monarchji, zwiększało wpływy i autorytet polaków wobec rządu centralnego w Wiedniu. Mimo to wówczas już poważni publicyści stwierdzali [1]), iż rzecz nie jest warta zachodu, a polityka posługiwania się żydami przynosi nam bez porównania więcej strat, niż korzyści.

Dziś, we własnem, niepodległem państwie, gdy świadectwem statystycznem naszych wpływów przed nikim nie mamy obowiązku się legitymować, utrzymywanie przedwojennego systemu galicyjskiego świadczyłoby tylko o niezdolności wyzwolenia się ze starych formuł i zadawnionych nałogów myślowych z okresu niewoli. Nie o efekt zewnętrznego spolszczenia kraju, o jego polski charakter „na pokaz", ale o rzeczywiste zespolenie duchowe ludności ruskiej z całością narodu polskiego powinno chodzić przy układaniu planu polityki naszej na terenie Małopolski Wschodniej. Żyd, w roli polonizatora kraju, wywoływać musi odrazę tylko, nigdy zaś sympatję dla kultury, którą będzie narzucał. Pamiętne jest, jaką reakcję budzili przed laty kilkunastu w b. Królestwie Kongresowem t. zw. „litwacy", żydzi z centralnych gubernij b. Cesarstwa Rosyjskiego, tak hałaśliwie wówczas popisujący się swoim rosyjskim językiem i obyczajem.

I tu właśnie dochodzi się do punktu, szczególnie doniosłego dla programu polityki polskiej w stosunku do zagadnienia ruskiego. Kto choć cokolwiek widział życie wsi i miasteczek na Podolu albo Pokuciu, wie, w jakim stopniu lud miejscowy stał się przedmiotem wyzysku ze strony żydowskiego inteligenta, żydowskiego kupca, żydowskiego arendarza. W przeciwieństwie do innych dzielnic Polski, niemal czwarta część żydów w Małopolsce Wschodniej zamieszkuje gminy wiejskie (w woj. tarnopolskiem 21,4%, w woj. lwowskiem 21,6%, w woj. stanisławowskiem 26,2% [2]). Szynkarz

[1]) N. p. Antoni Chołoniewski: „W sprawie żydowskiej. Trzy listy polemiczne“ Kraków, 1914, str. 73—79.

[2]) Cyfry z książki prof. Bohdana Wasiutyńskiego „Ludność żydowska w Polsce“, Warszawa, 1930.

żydowski, zwłaszcza w okręgach podkarpackich, wyniszcza moralnie i fizycznie ludność tamtejszą, rozpajając ją i pogrążając ją w nędzy. Tragiczny obraz z „Sędziów" Wyspiańskiego, gdzie gospodarska córka jest posługaczką w chacie bogatego żyda, niegdyś będącej własnością jej rodziców — brany był z rzeczywistości, nie z fantazji. Agitatorzy „ukraińscy" domagają się ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie, ale w życiu zauważyć można fakty, stwierdzające, że walka o indywidualność duchową rusina może okazać się aktualna na poziomie o wiele niższym, w dziedzinie bez porównania pierwotniejszej:

„Pokazałbym na okaz dorożkarza w Zabłotowie (parobka). Wiecie, jak wygląda? Niczem nie różni się od fjakrów żydów; tak samo ubrany, mówi żargonem, tak jak oni gestykuluje, tak samo bije konie. Ale jest chrześcijaninem, bo to Rusin-hucuł, ucywilizowany po miejsku"[3]).

Żywioł ruski zmaga się z żywiołem żydowskim nie w tych lub innych politycznych „posunięciach" czy koncepcjach, ale w realnem, codziennem bytowaniu najszerszych rzesz ruskiego ludu, najbardziej zapadłych wsi i miasteczek. Państwo polskie i społeczeństwo polskie nie zdobędą wśród tego ludu zaufania ani autorytetu, jeżeli — na podstawie naocznego doświadczenia — widzieć on będzie w narodzie polskim—protektora żydowskiego wyzyskiwacza. Odmienna droga wiedzie do pozyskania ludności ruskiej i wpływ agitatorów „ukraińskich" na masy tem się w znacznej mierze tłumaczy, że (mimo dążeń do współpracy z żydami w „blokach mniejszości") organizują oni gospodarczo żywioł ruski, uniezależniają go od żydowskiego wyzysku.

Nie zrozumieją tego i nie stworzą właściwego w tych warunkach programu politycznego doktrynerzy „praw mniejszości", usiłujący rozwiązywać sprawę ruską przez „ugody" z separatystami ukraińskimi i szukający zbawienia w koncepcji „trzech równorzędnych narodowości"... Zrozumie polak, nacjonalista, właśnie jako gospodarz kraju poczuwający się do odpowiedzialności moralnej za materjalny i duchowy byt łemków czy hucułów i nie spoglądający obojętnie na nędzę i poniżenie chłopa ruskiego, parobka na żydowskiej służbie.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

GŁOSY DALEKIEJ PRZESZŁOŚCI

OTWORZYŁA się w paru miejscach księga dziejów dawnej Polski. Pamięć przywołała obraz bitwy pod Płowcami z przed 600 lat, a z podziemi Katedry Wileńskiej dobyto szczątki ciał królewskich z XVI wieku. W Lublinie wzniesiono pomnik Kochanowskiemu.

Polska, zrastająca się z powrotem, odzyskuje pamięć, która jest niezbędnym czynnikiem świadomości dziejowej obecnej. Na bieg spraw dzisiejszych — uprzytomniamy to sobie — większy wpływ mają umarli, niż żywi. Nasza dzisiejsza obrona Pomorza jest dalszym ciągiem walki pod Płowcami, a następnie pod Grunwaldem. Kiedy zwycięsca z pod Płowiec, król Władysław Łokietek, w dwa lata potem umierał, na łożu śmierci synowi swemu Kazimierzowi i dostojnikom państwa taki zlecił testament (według Długosza):

„Ciebie także, Kazimierzu, synu mój, mocno napominam, abyś narodem polskim, którego królem i opiekunem Cię zostawiam, zbożnie i według praw sprawiedliwości rządził, o jego korzyści dbał.., i to szczególnie miał na pieczy, byś posiadłości dziedziczne i ziemie królestwa polskiego przez Krzyżaków zajęte, a szczególnie ziemię pomorską, świeżo a podstępnie mi wydartą — z powrotem przyłączył, i abyś żadnym układem ni koniecznością nie dał się zmusić do ustąpienia z niej, a stąd albo wieczną chwałę (jeśli, co każę, wykonasz), albo wieczną niesławę (jeśli zaniedbasz) mieć będziesz".

Polska dzisiejsza słyszy ten głos króla i rozumie.

W d. 21 września r. b. w Katedrze Wileńskiej, podczas badania fundamentów tego kościoła dokonano odkrycia grobów królewskich. Odnaleziono mianowicie szczątki zwłok króla Aleksandra Jagiellończyka, zmarłego w Wilnie 19 sierpnia 1506 r. (425 lat temu), królowej Elżbiety, pierwszej żony Zygmunta Augusta, zmarłej w Brześciu 15 czerwca 1545 r., oraz Barbary Radziwiłłówny, drugiej żony tegoż króla, zmarłej w Krakowie 8 maja 1551 r. Groby królewskie były w Krakowie, po śmierci jednak Aleksandra panowie litewscy nie uznali za wskazane wydalać się na pogrzeb do Krąkowa ze względu na niebudzące zaufania stanowisko kniazia Michała Glińskiego. Elżbiety nie kwapił się Zygmunt August sprowadzić do Krakowa, a gdy umarła jego ukochana Barbara, pisał do Jerzego Radziwiłła:

„A iż nie tu (w Krakowie) ale w Wilnie tę ostatnią ciała Jej K. M. sepulturę odprawić chcemy, tedy nas do tego wiedzie i prośba Królowej J. M., bo o to za żywotą jeszcze prosiła, aby w Wilnie leżała. Wiodą nas do tego i niektóre własne przyczyny i to też nakoniec, iż ponieważ J. K. M. niektórzy za żywota wdzięczni być nie chcieli, niechajże i po śmierci Jej tu nigdy nie widzą i nie mają".

Pogrzeb był uroczysty. Król niemal całą drogę z Krakowa szedł za wozem z głową odkrytą. Trumnę złożono w królewskiej kaplicy. Później znacznie ustawiono wszystkie owe trzy groby w kaplicy św. Kazimierza. Odnaleziono je teraz. Ustalono, że krypta nie była otwierana od początku XVII stulecia. Obok ciał znaleziono korony i tabliczki srebrne z napisami.

Odkrycie to zrobiło wielkie wrażenie w całym kraju.

PAMIĘCI Ks. STANISŁAWA STOJAŁOWSKIEGO

W PAŹDZIERNIKU r. b. upływa 20 lat od śmierci ks. Stanisława Stojałowskiego, trzydzieści zaś lat od czasu, kiedy znakomity ten działacz narodowy założył w Bielsku Cieszyńskim Dom Polski. Rocznice te spowodowały, że na dz. 4 października zapowiedziano wielką uroczystość w Bielsku, na której przemawiać będzie szereg posłów stron. Narodowego z prezesem sen. Bartoszewiczem na czele. Weźmie w niej udział Jan Zamorski, spadkobierca ks. Stojałowskiego według politycznego testamentu.

Ks. Stojałowski był twórcą pierwszego w Galicji stronnictwa ludowego. Prześladowali go konserwatyści i rząd austrjacki za akcję przeciwko państwom „centralnym". Odsiadywał też nieraz więzienie. Ks. Stojałowski propagował porozumienie słowian przeciwko Niemcom. Jako świetny i mądry mówca, w parlamencie wiedeńskim i sejmie galicyjskim odgrywał ważną rolę polityczną. Od r. 1908 szedł łącznie ze stronnictwem Dem.-Narodowem,

[3]) Zygmunt Wasilewski „Listy dziennikarza w sprawach kultury narodowej", Lwów 1908, str. 246 — 247.

umierając zaś (23 października 1911 r.) całą swoją organizację i pisma ludowe „Wieniec“ oraz „Pszczółkę“ oddał Janowi Zamorskiemu. Pisma te wychodzą teraz przy „Zorzy“.

Do tej krótkiej notatki dołączam list, pisany do mnie w r. 1911 w dniu śmierci ks. Stojałowskiego przez ś. p. Annę z Zamoyskich Potocką, do której zwróciłem się, jako redaktor „Słowa Polskiego“ o pewne szczegóły z życia ks. Stojałowskiego w przewidywaniu jego śmierci.

Wielmożny Panie!

Staram się zadosyć uczynić żądaniu Pana i następną pocztą przyszlę co mogę.

Żądam jednak, stanowczo, żeby się nikt domyśleć nie mógł, że to odemnie pochodzi, — Rzecz jest niesłychanie trudna i drażliwa; gdyby wchodzić w szczegóły, trzeba by zaczepić osoby żyjące, lub od niedawna zmarłe, raniąc boleśnie ich żyjących krewnych!

Rzecz taka, więcej by wywołała wrzawy i zgorszenia, niż korzyści przyniosła; rozdarła by na nowo przysychające rany i wywołała nowe zatargi! Mam ja bezcenne materjały ze sprawy X. Stoj-go: stosy jego listów, listów o nim pisanych z Francji przez naczelników stronnictwa chrześcijańsko-socjalnego; z Rzymu, od tych zakonników, u których mieszkał, od tych, co sprawę jego sądzili!

Ale i te rzeczy muszą się odleżeć; przeto porządkuję je, piszę do nich rodzaj pamiętnika i przeszlę to, rodzinnej bibljotece w Kórniku z poleceniem wydania tego w ręce historyków ruchu ludowego w Polsce. Ale to aż za jakie 30 lat.

Tymczasem wystarczy nieco ogólnikowy pogląd, nad którym pracuję i jutro przeszlę.

Powodem, że tyle dokumentów tej sprawy posiadam, jest, że należałam do szczupłej liczby tych, którzy starali się, x. St mu dopomódz do jazdy do Rzymu, uspokoić go, i ustrzedz lud Polski od grożącego mu zerwania z kościołem! Ale dość się nacierpiałam za to, i dziś incognito moje szanować proszę, przez wzgląd na moją starość.

Nieładnie to, ale proszę jako wynadgrodzenie za moją pracę (!) by mi Pan raczył łaskawie, za zaliczką pocztową, przesłać wszystkie polskie dzienniki, które będą nekrolog x. St. pisały! konieczne to, do mego zbioru, i bardzo pragnę to czytać! Spodziewam się, że mi Pan tej przysługi nie odmówi!

Łączę uprzejme ukłony i wyrazy szacunku

Z poważaniem

Zakopane—Kuźnice Anna Potocka

Sądzę, że obecnie nie stoi nic na przeszkodzie opublikowaniu dziejów ks. Stojałowskiego. Pisząc ten list p. Potocka nie przeczuwała, że Polska uwolni się tak rychło z pod opieki Austrji. Ale któż mógłby się wtedy spodziewać, że politycy obozu narodowego nadal będą prześladowani?

Z. W.

SAMODZIELNOŚĆ ZRZESZEŃ ROLNICZYCH A SUBWENCJE PAŃSTWOWE

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Stefan Surzycki, nadsyła nam następujące cenne uwagi w związku z ogłoszonym niedawno w „Myśli Narodowej“ artykułem p. Mieczysława Piotrowskiego:

W DOSKONAŁYM artykule p. t. „Z dziejów unifikacji“ umieszczonym w Nr. 43 „Myśli Narodowej“, p. Mieczysław Piotrowski przedstawił smutną dla obozu narodowego historję t. zw. unifikacji Centralnego Towarzystwa Rolniczego z Centralnym Związkiem Kółek Rolniczych. Smutną, bo widzi się, jak nieopatrznie poszli kierownicy Centr. Tow. Roln. na lep frazesów t. zw. jedności rolniczego frontu, wysuniętych przez lewicowo-sanacyjne żywioły, którym szło tylko o opanowanie ważnej kulturalno-zawodowej placówki dla celów polityczno-partyjnych, a nie dla istotnie wspólnej i równej pracy zawodowej. Zastrzeżona w umowie unifikacyjnej *paritas* została wkrótce przez lewicowców podstępnie złamana, żywioły narodowe od kierownictwa w znacznej części usunięte, ze szkodą kulturalnych i zawodowych interesów ludności rolniczej. Pamiętnym wyrazem tej całej gry, dotychczas niespotykanej w dziejach zrzeszeń rolniczych w Polsce, był fakt, gdy dwaj delegaci, a więc mężowie zaufania Centralnego Towarzystwa Rolniczego, przeszli na stronę lewicy ze Związku Centr. Kółek Roln. i w ten sposób zapewnili jej przewagę i opanowanie Centr. Tow. Roln.

W tej sprawie odegrała ważną rolę kwestja subwencyj ministerjalnych, których odebraniem zagrożono ze strony Ministerstwa Rolnictwa, gdyby do unifikacji nie przyszło. Pod tą groźbą zachwiały się dotychczas spójne w odporze szeregi członków Rady C. T. R. i poddały się niechlubnie. Miałem sposobność być obecnym na pierwszych owych rozstrzygających posiedzeniach Rady, będąc zaproszonym przez Prezydjum Centr. Towarzystwa do wygłoszenia na grudniowem zebraniu 1927 r. odczytu o „Towarzystwach Rolniczych u nas i zagranicą“. W odczycie tym przedstawiłem na przykładach zagranicznych Królewskiego Towarzystwa Rolniczego Angielskiego i Niemieckiego Tow. Rol. (D. L. G.), jak się rozwinęły te Towarzystwa dzięki swej samodzielności i pomimo zupełnego obywania się bez subwencyj rządowych, nawet od własnego, narodowego państwa, jak również i nasze Towarzystwa Rolnicze, we wszystkich byłych zaborach, w czasach niechęci lub prześladowań rządów zaborczych.

Sądziłem, iż fakty przekonają chwiejnych członków, że tylko zupełna samodzielność Towarzystwa może być pewną podstawą jego rozwoju. Tymczasem, niestety, na drugi dzień, nie tylko ziemianie ulękli się tej groźby cofnięcia subwencyj i usunęli swoich zasłużonych członków z Komitetu, którzy się Ministerstwu nie podobali z racji ich należenia do stronnictwa narodowego, ale i włościańscy delegaci tę samą bojaźń okazali. Pamiętam przemowę jednego z nich, kowala p. Zawistowskiego, członka C. T. R. od jego założenia, który, obawiając się cofnięcia subwencyj wołał: nie możemy się na to zgodzić, bo przecież „to z naszych podatkowych pieniędzy, to nasza krwawica“. Z tą chwilą samodzielność Towarzystwa została zaprzepaszczona, usunięto owych niemiłych Ministerstwu członków z Komitetu i wybrano „sanatorów“, którzy raz tam wszedłszy, poprowadzili już do tej zgubnej unifikacji, wciąż dalej pod tą samą groźbą cofnięcia subwencji.

Mogę powiedzieć, że nie przeżywałem równie smutnej chwili — odczuwało to wielu wówczas ze mną. Zamknęła się wówczas piękna karta naszych dawnych Towarzystw Rolniczych, karta ich samodzielności, ochroniona zwycięsko nawet wobec wrogich zapędów rządów zaborczych, które nie śmiały zresztą wdzierać się do wewnętrznych spraw, zwłaszcza personalnych, naszych Towarzystw.

Śledząc rozwój historyczny tych naszych Towarzystw, można stwierdzić, że najlepszy i najkorzystniejszy ich rozwój odbywał się wtedy, gdy polegały tylko na pracy swych członków

i na własnych swych środkach. Wówczas była i największa ofiarność, największe zainteresowanie członków sprawami Towarzystw, a zarazem i najwydatniejsze stosunkowo do czasu wyniki takiej pracy. Musiały one, bo inaczej wobec nieprzyjaznego stanowiska obcych rządów nie mogły, liczyć tylko na własne siły, które musiały być wytężone do ostatnich granic, żeby utrzymać swoje instytucje. I te środki finansowe, a co ważniejsza, współpracę swoich członków znajdowały Towarzystwa nasze zawsze, pomimo b. trudnych warunków ówczesnych kraju. Z chwilą zaś zmiany stosunków politycznych, gdy, jak np. w Galicji, otrzymywały pomoc rządową w licznych subwencjach i dotacjach, to wówczas słabła ofiarność i praca członków.

Powoli traciły one swoje dawne społeczne znaczenie i stawały się raczej organami rozdzielczemi rządu dla celów rolniczych. Fakta o tem mówią wyraźnie — Towarzystwo Rolnicze Krakowskie za czasów przedkonstytucyjnych zdobyło się, oprócz wytężonej akcji rolniczej, nawet na założenie i utrzymywanie własnej Szkoły Średniej Rolniczej w Czernichowie, którą przeszło 20 lat z najwyższym wysiłkiem utrzymywało i dopiero z utworzeniem rządu autonomicznego w Galicji oddało Wydziałowi Krajowemu. To samo zrobiło Towarzystwo Gospodarskie we Lwowie, zakładając i utrzymując przez szereg lat Wyższą Szkołę Rolniczą w Dublanach.

Czyżby można było wyobrazić sobie coś podobnego teraz? W szereg lat później, gdy oba te Towarzystwa, tak zasłużone dla kultury krajowej, weszły na drogę starań się o subwencje państwowe i krajowe, ofiarność i praca członków równocześnie znacznie zmalały. Opowiadał mi b. sekretarz generalny Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego, późniejszy minister rolnictwa, zmarły Józef Raczyński, że gdy przed samą wojną Towarzystwo miało subwencyj rządowych, t. zw. traktatowych około miljona koron, to składki członków wynosiły wówczas zaledwie 12 tysięcy koron. To też gdy rząd austrjacki wskutek wojny cofnął tę dotację, Towarzystwo to stanęło na brzegu przepaści i musiało prawie zawiesić swoją działalność. Tymczasem Centralne Towarzystwo Gospodarskie w Poznaniu, które zdane było prawie tylko na swoje własne środki i do tego przez szereg lat przyzwyczaiło swoich członków, przetrwało czas wojny zupełnie dobrze, nie ograniczając swojej pracy wydatnej w Kółkach Rolniczych. Nieco gorzej było już z Centralnem Towarzystwem Rolniczem. Z początku, po założeniu w roku 1906, nastawione było przez swojego pierwszego prezesa Chełchowskiego, gorącego zwolennika samostarczalności, przy niechęci ówczesnej rządu do nowej tej polskiej instytucji i polegało tylko na własnych siłach, to jest na pracy samych członków, którzy z wielkim zapałem oddali się nowej działalności, ale powoli, gdy zapał słabł, zaczęto wyręczać się pracą instruktorów, których trzeba było płacić, na co potrzeba było dużo pieniędzy.

Jednakże jeszcze w 1913 r. na 162,178 rubli ogólnego dochodu na cele, złączone tylko z krzewieniem wiedzy rolniczej, zwłaszcza w kółkach rolniczych — 3,722 członków złożyli składek 34,106 rubli, ponadto z ofiar osób prywatnych było 19,222 rubli, Instytucje Gospodarcze, Syndykaty i Spółki dały 21,921, czyli przeszło 75,000 rubli złożyło samo społeczeństwo rolnicze, subwencje zaś rządowe wyniosły na te cele 42,878 rubli, a resztę otrzymano z własnych przedsiębiorstw. Tych subwencyj rządowych z początku nie było wcale i niestety, z przybywaniem ich do czasu wojny, nie wzmagała się bardziej ofiarność społeczna. Jednakże i wówczas bardziej zawsze opierano się na własnych siłach. To też gdy wojna wybuchła i dotacje przestały dochodzić, Centralne Towarzystwo Rolnicze przetrzymało całą wojnę, wcale dobrze o własnych siłach, na których poleganiu głównie oparło swój byt. To liczenie przeważnie na własne siły przeniosło Centr. Tow. Roln. i na polskie czasy.

W 1926 roku zamknęło swój bilans kwotą 2.372,360 zł., przyczem zasiłki Ministerstwa Roln. wynosiły 714,000 zł. czyli 36% budżetu, a więc samo zdobyło z własnych środków, ofiarności członków i ze swoich przedsiębiorstw 64%, co wprawdzie było już osłabieniem samodzielności wobec świetnej przeszłości, ależ o wiele wyżej stało od owego Centralnego Związku Kółek Roln., z którym się w parę lat potem łączyło, a który w 1927/8 na 1.206,682 zł. dochodów, miał dotacyj ministerjalnych i innych 861,786 zł., czyli 71%, a tylko 29% z własnych środków, był więc jeszcze bardziej zależny od Ministerstwa. Gdyby te Towarzystwa nie pobierały subwencji państwowych, byłyby niezależne w swoich działaniach i wolne od wszelkiego stamtąd nacisku, który często może iść nie po linji interesów rolniczych, a po linji zmiennych tendencyj politycznych.

Obecnie, gdy ciężki nasz kryzys gospodarczy ograniczy, jeżeli nie przekreśli wcale owe subwencje, muszą nasze Towarzystwa Rolnicze powrócić do dawnej samowystarczalności, do polegania na własnych siłach.

To uzdrowi oczywiście te, które nie zatraciły jeszcze zdolności do samodzielnego życia, które przeważną część dochodów miały i mają z ofiar członków i z własnych przedsiębiorstw. Nie można więc rokować pomyślnego rozwoju zunifikowanemu Centralnemu Towarzystwu Kółek i Organizacyj Rolniczych, prowadzonemu obecnie przeważnie przez „sanację". Bez subwencyj, które w miarę posuwającego się kryzysu muszą odpaść lub być bardzo ograniczone — będzie powoli zanikało w centralnych swoich instytucjach. Zato jego prowincjonalne oddziały, Towarzystwa Okręgowe, o ile obóz narodowy zechce i zdoła je przez swoich członków, ich ofiarność i pracę ożywić, mogą znowu zakwitnąć narodową, owocną rolniczą pracą.

Szczęściem, iż w tej smutnej sprawie unifikacyjnej zastrzeżono, że majątkiem dawnego C. T. R., który powstał z zapisów i fundacyj, będzie rozporządzała zgodnie z wolą zapisodawców specjalnie wyłoniona Komisja Likwidacyjna C. T. R.

Gdyby więc utworzyło się z umiarkowanych narodowych żywiołów we wszystkich dzielnicach nowe ogólne Polskie Towarzystwo Rolnicze, mogłoby przejąć ono z rąk Komisji majątek dawnego C. T. R. i wówczas mogłoby tem silniej rozpocząć samodzielny żywot, unikając błędów przeszłości w łączeniu się z żywiołami lewicowemi, przenoszącemi agitację polityczną nad spokojną pracą zawodową. Tego w interesie rolnictwa polskiego należy jaknajrychlej życzyć.

STEFAN SURZYCKI

NAUKA I LITERATURA

POWIEŚCI AMERYKAŃSKIE

„AMERICANA" polskie wzbogaciły się w ostatnim roku o nowego autora. Jest nim John dos Passos, którego ze względu na mocno komunizujące tendencje jego dzieł można uważać za godnego następcę i spadkobiercę Uptona Sinclaira. Jego „Trzej żołnierze z Ameryki" nie propagują wprawdzie raju bolszewickiego, ani nie są atakiem na kapitalizm amerykański, ale zawarty tam pacyfizm ma cechy wybitnie komunistyczne. Treścią są dzieje młodego muzyka amerykańskiego, niezbyt patrjotycznie nastrojonego indywidualisty, który sam nie wie, dlaczego poszedł do wojska na ochotnika. Nie może znieść życia prostego żołnierza, a stanie w ogonku po obiad i mycie okien doprowadzają go do takiego rozprzężenia nerwów, że gdyby nie zdezerterował, byłby zmuszony kulkę sobie w łeb wpakować. Ponieważ zaś większość bohaterów powieści kończy dezercją, odnosimy wrażenie, że połowa armji amerykańskiej, a przynajmniej jej prostych żołnierzy, uciekła z wojska i to już po zawieszeniu broni. Oficerom, a nawet podoficerom dzieje się zato bardzo dobrze; są to krwiopijcy, wylegujący się na puchowych materacach, których jedynem i ulubionem zajęciem jest znęcanie się nad żołnierzami. Podczas wojny zakazują brać jeńców, żeby dla nich samych zostało więcej jedzenia.

Takie są impresje bezpośrednio po przeczytaniu tej książki. Po pewnym czasie jednak odnosimy wrażenie, że zostaliśmy oszukani. Fakty podane przez autora wzruszają przez suggestywność artystycznego przedstawienia, ale nie wytrzymują trzeźwej krytyki. Żałosna i namiętna skarga przeciw mechanizacji życia (ogonek obiadowy) wygląda dość paradoksalnie na tle poezji, opiewającej chwałę fordyzmu i maszyny, czyli t. zw. „postępu". Łącznie z niektóremi dziełami Sinclaira Lewisa i Hergesheimer'a wygląda to na zmierzch „robot'a" jako ideału, a nawrót do indywidualizmu, o źródłach może jeszcze niezupełnie uświadomionych, jeszcze czepiającego się socjalizmu i komunizmu, ale będącego niewątpliwie reakcją przeciw powojennej mechanizacji życia.

Skarga Johna dos Passos nie ma charakteru buntu — ma w sobie siłę beznadziejności, liryzm publicysty, stawiającego pod pręgierz opinji publicznej zasłyszane, oburzające fakty. Uczucia bohaterów — wywołane przez wyolbrzymienie przeżyć wyobraźnią, a wzmagane przez rozpamiętywanie, doprowadzające do napięcia nerwów, które musi się nagle wyładować—przypominają podobne stany psychiczne w ostatnich powieściach Witkiewicza, oczywiście tylko w mniej jaskrawej formie. Owe nastroje podniecenia nerwowego o niezbyt uświadomionej przyczynie, a nawet niezbyt sprecyzowanym kierunku uczuciowym są w obecnej literaturze symptomatyczne (Joyce), a źródło ich leży niewątpliwie głównie w warunkach życia współczesnego. Stosunek ich choćby do trzeźwej i pełnej wyraźnych kształtów literatury późnowiktorjańskiej (Galsworthy, Kipling), przypomina stosunek romantyzmu do klasycyzmu. Przekład Schmorakowej i Ziemilskiej (Landau?) kiepski.

*

Ciekawszą od „Trzech żołnierzy z Ameryki" i opartą niewątpliwie na głębszych i liczniejszych obserwacjach i przemyśleniach powieścią Johna dos Passos jest jego epopeja New Yorku „*Manhattan Transfer*". Książka okrzyczana została jako arcydzieło i kamień węgielny nowej szkoły literackiej z powodu oryginalnej techniki artystycznej, której źródeł jednak szukać należy nietylko w kinie, ale niewątpliwie także u Joyce'a. Od czasu „Trzech żołnierzy" widać znaczny rozwój talentu — śmiałość w szukaniu nowych dróg dla formy; przygnębiający nastrój rozpaczy, który i tu jest dominujący, a nawet jedyny, nabrał większej mocy epickiej, choć element liryczny jeszcze przeważa. Każdy bowiem z niezliczonych obrazków, z jakich się składa ta mozajkowa powieść, ma charakter liryczny, z całą introspekcją i gamami wrażeń, również przypominającemi Joyce'a. Punkt ciężkości spoczywa już całkowicie na psychoanalizie; treścią zasadniczą są dzieje pierwszych dwudziestu paru lat życia dwojga bohaterów, a tłem są również przeżycia wielu innych ludzi, pojawiających się czasem epizodycznie, czasem przewijających się przez całą powieść, w łączności lub bez łączności z losami głównych bohaterów.

I znowu, tak jak w „Trzech żołnierzach z Ameryki", uderza brak jakiejkolwiek celowości w całem dziele. Autor tak widocznie boi się pomawiania go o tendencję, że i swoje postacie ukazuje jako beztendencyjne — pętają się one tu i owdzie, same jednak nie wiedzą, czego chcą; czasem im się uda coś uczynić, jednakże bez stałego wysiłku intelektu w jakimkolwiek kierunku. Coś tam myślą, coś mówią, ale punktem ciężkości ich życia jest samo życie, pojęte raczej fizjologicznie. Ludzie są tak słabi i bezwolni, że zatracili już możność wywierania wpływu na swe życie, pozwalają się unosić na jego fali. To wrażenie podkreśla jeszcze metoda artystyczna, stawiająca czytelnika zawsze wobec faktu dokonanego — nie widzimy, żeby się coś działo, dowiadujemy się o tem z ust bohaterów. I ta bezcelowość, obok rozpaczy, wydaje mi się najistotniejszą cechą oblicza duchowego Johna dos Passos. Pozatem jednak jest to wielki artysta: obdarzony ogromną wrażliwością i zdolnością do autoanalizy, a obrazy jego mają dużą suggestywność i uderzają trafnością obserwacji, co zapewne jest źródłem entuzjazmu, jaki wyraża dla autora „*Manhattan Transfer*" Sinclair Lewis w swej przedmowie do tej książki. Przekład Tadeusza Jakóbowicza wykazuje pewne opanowanie słownikowe języka, jednak bez zrozumienia jego treści, a tem mniej stosunków amerykańskich. „*High School*" np. to nie „szkoła wyższa", tylko seminarjum nauczycielskie.

A. M.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydanie „Dzieł wszystkich" Juljusza Słowackiego posunęło się w roku ostatnim zaledwie o tom jeden (VII). Powodów tego „zwolnienia tempa" należy upatrywać nietylko w ogólnej stagnacji ruchu wydawniczego, ale i w zwiększających się trudnościach samego opracowania. Tomy, poprzednio wydane, należały do „łatwiejszych", bo mieściły się w nich utwory bardziej dostępne umysłom czytelników, częściej omawiane i zgłębiane przez badaczy i, co najważniejsza — posiadające tekst ustalony. Do opracowania pozostały rzeczy nieuporządkowane przez poetę, wymagające dłuższej roboty tekstologicznej i komentatorskiej. Trudności zwiększyły się przez to, że z dawniejszych współpracowników kilku odstąpiło od pracy, tak iż teraz prawie całe zadanie spoczęło na barkach prof Kleinera (tekst i komentarze) i prof. Hahna (bibjografja). Tom VII zawiera dzieła, ogłoszone przez poetę w ostatnich 5 latach życia, a więc: „Księcia Niezłomnego", rapsod I „Króla Ducha", „Odpowiedź na psalmy" i pisma polityczne. W komentarzach do „Księcia Niezłomnego" cenne są porównania przekładu z oryginałem, uzupełniające (lub prostujące) niejeden z sądów dawniejszych (Szyjkowskiego i in.). Zbiegł się w tej pracy Kleiner z prof. Folkierskim, który współcześnie (w „Bibljotece Narodowej") dokonał podobnej — może jeszcze dalej idącej — analizy przekładu. W poglądach na „Króla Ducha" niejednokrotnie odbiega Kleiner od Pawlikowskiego; krytykę szczegółową sądów jednak będzie można przeprowadzić dopiero wtedy, gdy się ukaże opracowanie dalszych rapsodów. W komentarzach do „Odpowiedzi na psalmy" słychać pogłosy żywej i ciekawej dyskusji, jaka na temat tego utworu rozbrzmiewała niedawno z okazji ukazania się edycji prof. Kridla w „Bibljotece Narodowej". (J. B.)

*

W czasach dzisiejszych, gdy z dnia na dzień chyli się ku upadkowi powieść, podcinana z jednej strony nadmiarem przekrwionej sensacji (t. zw. bujdy), z drugiej zaś anemiczną dłużyzną „romansów biograficznych", znamienne jest upodobanie, jakie kulturalniejsza i mniej snobizmem nasiąkła publiczność czytelnicza zaczyna znajdować—w pamiętnikach, zarówno starszej jak i nowszej daty. Jest to odruch w prze-

ważnej części zdrowy—bo świadczący o stęsknieniu za prawdą i naturalnością, o zbrzydzeniu sobie pozy i reklamiarstwa, jakiemi często nacechowane były powieści „czołowe", ton nadające. Zresztą pamiętnik — forma literacka, po liryce najbliższa ludzkiej duszy — nieraz już skutecznie stawał w zawody z powieścią; dość wspomnieć nieosłabłą jeszcze wziętość pamiętników Paska w porównaniu z głuchą niepamięcią, jaka pokryła niemal wszystkie powieści polskie aż do połowy XIX wieku.. Przyczyną zwycięstwa bywały często i względy artystyczne; pamiętnik, z wewnętrznej potrzeby ducha wyrosły, często łatwiej sobie odpowiednią formę dobiera, niż sztuczne, wyżyłowane dzieło świadomej i celowej literatury. Wśród pamiętnikarzy naszych można spotkać pierwszorzędnych stylistów, mistrzów języka, swady, obserwacji i humoru. Książkami o literackiej wartości nieprzeciętnej są wspomnienia Gabrjeli z Güntherów Puzyniny („W Wilnie i dworach litewskich", księgarnia Zawadzkiego w Wilnie) i stanowiący jakby ich uzupełnienie pamiętnik Stanisława Szumskiego („W walkach i więzieniach"), wiążący w zakresie lat 1812-1848 całe pasmo zdarzeń i przeżyć. Mistrzem pamiętnikarzem jest rówieśnik Mickiewicza, dr. Stanisław Morawski, którego dwa tomy „koszałków-opałków" (jak zwykł sam swoje gawędy nazywać) już przed paroma laty ogłoszono. Po Wilnie i po „Peterburku" obecnie poznać możemy trzecią fazę życia tego utalentowanego pisarza; zbiór zatytułowany „Szlachta-Bracia" (Wydawnictwo Polskie, Poznań), opowiadający o czasach, gdy dawny bywalec stołeczny osiadł na roli, niczem nie ustępuje pokrewnym mu tak bardzo „Obrazom litewskim" Ignacego Chodźki, ani Rzewuskiego „Pamiątkom Soplicy": tyleż w nim humoru, tyle plastyki, tyle trafnej satyry. Drażniąca jest w tej książce rzecz jedna: pewne rusofilstwo autora, przebijające z kart jego wspomnień". (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pani André Corthis, znana powieściopisarka, otrzymała była za swoją książkę *„Pour moi seule"* wielką nagrodę powieściową, jaką przyznaje Akademja francuska. Dzieło jej zresztą jest już poważne, a wykazujące dużo talentu i znajomości psychologji. Autorka dała też jej dowód w ostatnio wydanej książce *„Soledad"* (Albin Michel édit). Zaznaczmy na wstępie, że za tło tego dramatu posłużyła pani Corthis wyspa Majorka, tak pociągająca swoim krajobrazem, zarówno pięknym, jak pełnym dzikości. Tam właśnie żyje, w starym pałacu, młoda jeszcze i ładna wdowa Soledad d'Alcovar wraz ze swoją córką, szesnastoletnią Mercédès. Soledad d'Alcovar, prowadzi spokojny, a nawet surowy tryb życia, jej natura jednak, bogata i zmysłowa, domaga się innej egzystencji. I oto razu pewnego przybywa na Majorkę Francuz, Jean-François Fontainac. Zawiera on znajomości z niektóremi dobremi rodzinami wyspy; wszędzie zaś wzbudza ogólną cickawość, gdyż jest przystojny i dobrze wychowany, a otacza go, zdawałoby się nimb, jakiejś tajemnicy. Wówczas szybko wybucha dramat. Mercédès zakochuje się w nim; równocześnie jednak pała silnem uczuciem do Francuza i matka jej, Soledad. Ten zresztą, po małym flircie z Mercédès, głównie matką się zajmuje. Dwie te kobiety odgadują swe uczucia; rywalizacja pomiędzy niemi wzrasta, przybierając akcenty tragicznej nienawiści. Ale oto rozwiązanie tej trudnej sytuacji nastąpi w sposób bardzo prosty, jakkolwiek dla obydwóch tych kobiet bolesny. Fontainac opuści Majorkę, gdzie udał się, szukając zapomnienia po innej zawiedzionej miłości. Rozwój tej akcji przeprowadziła p. André Corthis z dużą subtelnością, jakiej wymagały różne drastyczne sytuacje, a przeciwstawiając sobie dwie generacje, jedną na schyłku młodości, a drugą na jej wstępie, poruszyła jeden z najboleśniejszych tematów, jaki z matki i córki może stworzyć dwie wrogie sobie niemal istoty (I. B.).

*

Henri Duvernois, znany jest ze swojej fantazji, którą niezawodnie żongluje w sposób bardzo zręczny, uprzejemniając sobie godziny pisania, a czytelników odrywając, dzięki niej, od szarzyzny codziennego życia. Fantazje te odnajdujemy właśnie w jego powieści *„La Poule"*. Jest to jednak nie kobieta, ale mężczyzna, Théodore Sylvestre, profesor języków, który zostawszy wcześnie wdowcem musiał wychować aż pięć córek. Z zadania tego wywiązał się lepiej, aniżeli z lekcyj języków, gdyż jedna z tych córek jest malarką, inna daktylografką, trzecia studjuje medycynę, czwarta służy za lektorkę, a piąta jeszcze fachu obranego nie posiada. Stary Sylvestre poświęca też chwile wolne uprzejemnieniu egzystencji swego potomstwa, zajmując się jak matka domem, kuchnią i t. p. Przyjdzie jednak moment, w którym trzeba będzie pomyśleć o wydaniu za mąż licznego tego niewieściego potomstwa. I tego cudu dokona on z pomocą najstarszej swej córki Guillaumette, która poznawszy niejakiego Frederyka Chapuis, dopomoże swym siostrom do znalezienia mężów. Tego rodzaju rozwiązanie trudności ma naturalnie w naszej epoce coś czarodziejskiego niemal. P. Duvernois uważa jednak, iż do tego służy właśnie fantazja, bo gdyby wszystkie powieści były jedynie realistycznem przedstawieniem życia, to miałyby mniej licznych czytelników, zwłaszcza pomiędzy tymi, którzy potrzebują zapomocą lektury oderwać się od zbyt zawikłanych sytuacyj, jakie przynosi im ich własna egzystencja. W powieści tej zresztą zabawnej, autor odmalował w sposób żywy, cały szereg ubocznych typów, jakie służą za barwne tło „ojcu-*poule*" i jego pięciu córeczkom (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

JEDNEM z najpoważniejszych wydarzeń dni ostatnich stało się bezwątpienia skasowanie Departamentu Sztuki ministerstwa W. R. i O. P. Departament przetrwał niesławne długoletnie rządy p. Skotnickiego i z chwilą znalezienia się pod właściwą opieką (dwaj ostatni jego dyrektorzy) zakończył swój żywot. Drugi z kolei i ostatni po prof. Jastrzębowskim urzędowy opiekun sztuki, profesor Wł. Skoczylas, człowiek o niezwykłem poczuciu rzeczywistości, znany był ze swych szerokich i ambitnych zamierzeń. Realizację jego planów przerwano w sposób zgoła nieoczekiwany. Drażniący splot sytuacji zaogniło i samo załatwienie sprawy: o losach departamentu decydowano w czasie, gdy jego kierownik i wiceminister bawili na urlopie. Jakie były powody tego kroku? Znając sprawę z opisu w pismach codziennych, możemy mówić jedynie o podanych oficjalnie motywach oszczędnościowych. Lecz z tych samych pism czytelnicy również wiedzą, iż w istocie żadnych oszczędności nie zastosowano. W dawnym departamencie, a obecnie wydziale sztuki, wszystko podobno ma zostać po staremu. I tu normalny tok rozumowania poczyna się gmatwać. Jakże to? — dokonano pewnych zmian w układzie administracyjnym, zmian b. ważkich w skutkach, dla oszczędności, zarazem... wydatków w niczem nie umniejszając. Jedno drugiego tu się wcale nie trzyma i nie trzeba specjalnej lotności umysłu, żeby to zrozumieć. Przy dobrej woli możnaby rząd obecny podejrzewać o wiele rzeczy, ale już chyba nie o to, aby nie orjentował się w tem, co jest jasne dla każdego obywatela. Chyba więc inne muszą być racje omawianego postępku, niż te, które podano nam w pismach, zresztą przez osoby jaknajlepiej poinformowane.

Wobec tego, szukając wytłumaczenia dla dokonanych posunięć, stajemy w obliczu dwu możliwości:

1. albo podana wiadomość w szczegółach nie odpowiada, mimo wszystko, istotnemu stanowi rzeczy i okrojenia oszczędnościowe, wślad za zniesieniem departamentu, muszą jednak wkońcu nastąpić (pociechą, choć nikłą, w tym smutnym wypadku byłaby przynajmniej więź logiczna między obu czynami),

2. albo, jeżeli stan rzeczy został wiernie przedstawiony i nie istnieją żadne usprawiedliwienia natury materjalnej, — pobudek takiego postępku należy szukać w dziedzinie moralnej. Do nich należałaby przedewszystkiem zła wola ludzka.

Stanowisko takie wobec sztuki byłoby — nie wahamy się użyć tego słowa — szykanowaniem jej spraw i potrzeb. Być może nie wszystko w departamencie zasługiwało na aprobatę. Możemy walczyć o dobry departament, nigdy jednak — z departamentem. Wszyscy jakoby zdają sobie sprawę ze znaczenia sztuki, z jej olbrzymich zasług wobec narodu w przeszłości, jej możliwości obecnych. Z tem przeświadczeniem nie idzie w parze troska o jej dobro, przeciwnie, opieka nad nią coraz bardziej się umniejsza, nie odpowiadając wcale potrzebom wielomiljonowego państwa. A przecież pożytek z niej płynący, poza korzyściami duchowemi, raz po raz uwidocznia się z całą wyrazistością. Nie wiemy, naprzykład, jakie były sukcesy naszych dyplomatów w Genewie, wiemy

natomiast, iż sukcesy naszych artystów (Bractwo Św. Łukasza, Szkoła Warszawska) były olbrzymie.

Na nic też nie zdadzą się argumenty o ciężkich czasach, bo „tak jak w wychowaniu dziecka nie można całego wysiłku oprzeć jedynie na odżywianiu i odzianiu, lecz równocześnie trzeba dbać o jego wychowanie duchowe, tak samo w stosunku do społeczeństwa, troski o jego duchowy poziom nie można odkładać na potem". (W. P.)

*

W Zachęcie odbył się odczyt Tadeusza Cieślewskiego Syna o Szukalskim i Szukalszczykach. Odczyt był żywy i zajmujący i choć nie pod wszystkiemi poglądami prelegenta moglibyśmy się podpisać, wszystkie zainteresowały nas przez swą żywość i niecodzienność. Zachęta ma zamiar zorganizować cały szereg odczytów i pomysłowi temu można tylko przyklasnąć. Tembardziej, iż dochód przeznaczony jest na zasilenie kasy zapomogowej artystów.

ZMARLI

Ś. P. ALEKSANDER HR. SKRZYŃSKI

(WSPOMNIENIE OSOBISTE)

TRUDNĄ jest rzeczą pisać wspomnienie pośmiertne o człowieku, którego znało się od dziecka i z którym było się niegdyś blisko tak, jak mało który ze współczesnych, a którego jednak zaliczało się w ostatnim okresie do kategorji tych inaczej zorjentowanych, inaczej od siebie ujmujących naczelne zagadnienia powojenne:

ludzi rozdzieliły boje!

Ś. p. Aleksandra miałem sposobność poznać młodzieńcem w Krakowie, na ławach tejżesamej szkoły imienia Sobieskiego, gdzie kończyłem studja średnie. Pamiętam jego *maiden-speech* na wieczorku Mickiewiczowskim w roku 1901 — jego, który później miał przemawiać przed audytorjum całego świata, bo całej Ligi w Genewie. Pamiętam pierwsze jego sukcesy dyplomatyczne: rzymski, gdzie świecił wystawnością przyjęć i odwagą wyczynów sportowych na tle świetnego towarzystwa międzynarodowego w latach 1909-11, dalej w Berlinie i Paryżu. Pamiętam długie z nim rozmowy przed samą wojną, kiedy bawił na urlopie w cudnej rezydencji swojej zagórzańskiej, opodal kunsztownego Biecza, dokąd w niedzielę pojechaliśmy razem na mszę i bogatych w naftę Gorlic, które stały się w rok niespełna polem największej bitwy, a po części i grobem świetności Zagórzan. Pamiętam chwilę, gdy mi się zwierzył, że, zamiast „dekować się" w dyplomacji, pójdzie jako ochotnik na wojnę i inną chwilę, — w lutym 1915 r. — kiedy jako bajecznie kolorowy ułan a przyboczny adjutant generała Rozwadowskiego, wpadł na chwilę do mego krakowskiego mieszkania, wśród rozgorzałych już orjentacyjnych sporów, zapowiadając tylko z żywotną brawurą, jaka go zawsze charakteryzowała, że, skoro uda mu się wyjść z okopów, cieszyć się ma zamiar życiem, jak wyratowany rozbitek.

Ś. p. Aleksander łączył bowiem w sobie dwie zalety, które, w okresie wojennym i powojennym, przysłużyły się niewątpliwie w decydującej mierze rozwojowi i prymatowi jego wybitnej indywidualności. Był człowiekiem niezwykłej osobistej odwagi i był człowiekiem niepolskiego w zamiarach swoich hartu i wytrwałości.

Odległe są to już chwile, kiedy w latach 1905-6 piszący niniejsze wspomnienie zachodził co wieczór do pracowni przyjaciela, gdzie ś. p. Aleksander przygotował się w klasztornem niemal skupieniu do trudnych i wymagających olbrzymiego opanowania pamięciowego egzaminów administracyjnych i dyplomatycznych. Była to jedyna chwila w dniu — przez całą zimę, — kiedy ten mężczyzna silnej woli pozwalał sobie na wypoczynek umysłowy, kiedy wyrywał się z dyscyplin prawniczych i kiedy kolejno na głos czytywaliśmy sobie France'a, Barres'a, Reymonta, Tetmajera. Umysł i w estetycznych sprawach miał subtelny; zamiłowania wiejskie dawały mu zrozumienie kolorytu literackiego polskiego, podczas gdy częste pobyty na Zachodzie otwierały mu oczy na walory literatur zagranicznych.

Ale była to u niego, rozkochanego w rozkoszach *urbs* współczesnej, jedna tylko strona medalu — pokojowa; drugą, która go niewątpliwie uzdolniła do trudów wojennych, ale i zmagań powojennych, była ambicja przemożenia w sobie tych pierwiastków miękkich, jakie każdemu z naszej warstwy dawało przedwojenne wychowanie, ta pasja do sportów na wolnem powietrzu, która czyniła zeń w kampanji rzymskiej nieustraszonego jeźdzca, na konkursach warszawskich arbitra ekwitacji, zawołanego myśliwego, a cechowała przywiązanego pięknem uczuciem do cudnych istotnie podkarpackich Zagórzan ziemianina.

Nie mnie — towarzyszyć mu było w sportowych jego perypecjach. Ale dane mi było być świadkiem, wiosną roku 1919, w czasie wznowionej wówczas ofensywy ukraińskiej na pozycje polskie, kiedyśmy obaj jechali na posterunek dyplomatyczny do Bukaresztu, a on specjalnie się tam śpieszył, aby rozwiązać zaogniony problem Pukucia, jak ten późniejszy *leader* potrafił niczem więcej, tylko odwagą osobistą, przeciwstawić się szerzącej się w Bukaczowcach i Haliczu nawet wśród sfer wojskowych panice, zdobyć dla siebie wagon z lokomotywą, przejechać w nim śmiało podrutowany czy nawet podminowany most na Dniestrze i dotrzeć zdrowo do Stanisławowa, gdzie wartował już generał Żeligowski. *Et hoc meminisse iuvabit.*

To też ślicznie wspomiał profesor Stroński w „Gazecie Warszawskiej", jak ten niegdyś kolorowy adjutant, przypomniawszy sobie nad grobem swego wodza, Rozwadowskiego (i to w momencie, kiedy niejedno lwie niby serce drżało) wspólne z tym wodzem przeprawy, co tak mocno wiążą ze sobą ludzi, znalazł słowa proste, żołnierskie a sercu naszemu tak miłe, słowa, co nam przypomniały z młodości dawnego, koleżeńskiego Olesia, którego sławą jeszcze nie brzmiała Europa, ale który umiał mieć gest i był kimś naprawdę.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

NA MARGINESIE

Ustaw, które rząd przedłoży Sejmowi do załatwienia poza budżetem, liczą już na setki. Jeżeli ich będzie istotnie 120, to członkowie BB w Sejmie będą musieli na samo głosowanie przy trzech czytaniach wstać i usiąść 360 razy. W Senacie 120 razy. Jeśli do tego dodamy wstawanie i siadanie na cześć referentów i rządu oraz na zamykanie dyskusji opozycyjnej, to lekko licząc BB wykona ten zabieg gimnastyczny 600 razy. Ponieważ tempo tej pracy ustawodawczej będzie szybkie, więc parlament będzie wyglądał, jakby tańczono „trepaka z prisiudami". Jest to ćwiczenie bardzo sanacyjne acz męczące dla przegubu siedzeniowego i dolnych części organizmu, połączone zaś jest z zupełnym wypoczynkiem głowy. Sanatorzy odpoczną jedynie tyle, ile trzeba będzie na przysiadywanie wniosków opozycji.

*

Pisma sanacyjne donoszą, że województwo śląskie zaprowadza dla bezrobotnych „gry i zabawy". Doskonały pomysł. Wprawdzie złośliwi robią uwagę, że to trochę wygląda na kpiny i że bezrobotnym gry i zabawy akurat tak są pożądane, jak umarłemu kadzidło, ale pomyśleć, jaka to sposobność do państwowego wychowania! Jak to wspaniale usposobi bezrobotnych kiedy np. p. Wojewoda zainauguruje sezon zabawowy, sam prowadząc „kotka i myszkę". Możnaby jeszcze pozmieniać w duchu państwowo-wychowawczym nazwy zabaw, np. kotka i myszkę nazwać korfantówką, ciuciubabką — pogromem partyjnictwa, grę w zbója i żandarmów. Kostkówką i t. p. Sposobności do dobrych pomysłów dość: Trzeba tylko zamianować nowych referentów, zorganizować nowe biura do tego, a bezrobotni będą mieli wesołą i pożyteczną zabawę, przy orkiestrze własnych kiszek...

BŁĘDY DRUKU. W artykule J. Ryxa p. t., „Megalomanja germańska" w n rze 43 opuszczono na str. 150, w wierszu 7-ym od góry, pomiędzy wyrazami: „nordycznej, ... nie potrzebują" słowa następujące: „nie muszą koniecznie pochodzić od Germanów, tak jak i ci wcale".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.